

11/20/30 5007
okt.

ROK V

NR. 12

GRUDZIEŃ

1936



GŁOS MISJI WEWNĘTRZNEJ

i PRZYGOTOWANIA
APOSTOLSKIEGO

Cena
30 gr

INTENCJA MISJI WEWNĘTRZNEJ (pozostaje niezmienną)

Módlmy się o zrozumienie u wszystkich wychowawców — rodziców i nauczycieli — że do dobrego wychowania młodego pokolenia nie tylko konieczna jest umiejętność ludzka ale przede wszystkim i pomoc Boża

Intencja Misji Wewnętrznej (pozostaje niezmienną)

Módlmy się o zrozumienie u wszystkich wychowawców — rodziców i nauczycieli — że do dobrego wychowania młodego pokolenia nie tylko konieczna jest umiejętność ludzka ale przede wszystkim i **pomoc Boża**.

Treść:

Radujcie się zawsze w Panu	353
O naszej nowej intencji	356
Bóg się rodzi!	357
Znów pomyliłeś się!	359
Wytrzymałość	360
Najpierw przez trzy sita	362
Dzielny Krzysztof	362
Pomocna dłoń	365
O uszanowaniu	365
Spotkanie	367
Apostolstwo śwleckich	
Za kogo i o co mamy się modlić?	370
Droga na szczyty	
W szkole Zbawiciela — Nieznany świat cudów	371
Dla naszych zrzeszeń Misji Wewnętrznej	
Życie Wewnętrzne Rodziny Tercjarskiej (ciąg dalszy)	372
List pasterski kardynała Bertrama o różańcu	376
Z życia	
Sylwetki Bohaterów Czynu	377
Trzy przypadki	381
„Sekret Paryża“	383
Z ostatnich dni	383

Kalendarzyk uroczystości w grudniu:

4. Św. Barbary p. m.	18. Oczekiwanie N. M. P.
6. Św. Mikołaja bisk. w.	25. Boże Narodzenie
8. Niepok. Poczęcie N. M. P.	26. Św. Szczepana I. męczennika
10. N. M. P. Loretańskiej	31. Św. Sylwestra.

Wszystkim czytelnikom i współpracownikom „Głosu“ składa z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzenia najobfitszych łask Bożego Dzieciątka

Redakcja.

Radujcie się zawsze w Panu!

Ludzie niewierzący zarzucają bardzo często Kościołowi Katolickiemu, że niektóre z głoszonych przez niego prawd przejmują człowieka zgrozą i działają na niego przygnębiająco. Religia zaś, głosząca prawdy napawające człowieka smutkiem, nie może znaleźć uznania dzisiejszego świata. Dlatego w okresie stojącym przed nami, w okresie Bożego Narodzenia, kiedy to w kościele wszędzie rozbrzmiewa nuta radosna i pełna wesela, zadamy sobie trud, by wykazać, że powyższe wysuwane wobec Kościoła zarzuty są bezpodstawne.

Najpierw ustalić należy jedno. **Człowiek, patrzący na świat przez czarne okulary, będzie wszystko widział czarne:** nawet budzącą się wiosnę, jasne niebo, promieniujące słońce. Nad całym dziełem stworzenia, w ogóle wszędzie, będzie widział groźnie rozpościerające się cienie. Człowiek taki, patrzący przez czarne okulary, zawsze będzie twierdził, iż wszystko jest ciemne, jest złe. Schopenhauer, filozof tego pokroju, nazywa przeto świat stworzony, jakim dzisiaj jest, światem najgorszym, jaki mógł zaistnieć. Według niego świat takim został stworzony byleby tylko mógł istnieć i nie rozpadł się. Jeśli jeszcze by odrobinę był gorszy, już by istnieć nie mógł.

Świat w pojęciu Schopenhauera jest nie tylko czyścem, ale piekłem, a na nim najgorszym stworzeniem jest człowiek. Człowiek nie po to został stworzony, by zostać szczęśliwym lecz nie szczęśliwym.

Według Schopenhauera świat zbankrutował na wszystkich odcinkach, a życie jest kiepskim tylko interesem, co końca z końcem związać i nakładu sił wrócić nie potrafi. Najlepiej byłoby, gdyby już dziś piorun w niego uderzył i wszystko zniszczył. Albo niech ludzkość na jakimś wielkim kongresie ogólnoludzkim postanowi powszechny światowy strejk, by siebie i świat cały jednym zamachem obrócić w nicość. Ponieważ jednak na razie czyn taki jest niemożliwy, musi człowiek w pocie czoła taczkę, jaką jest świat, pchać dalej, dopóki ona nie utkwi. — Tak oto brzmi ewangelia ludzi o czarnych okularach. **Tak brzmi ewangelia zgorzkniałego świata, świata bez wiary, świata „dotkniętego trądem zwątpienia“.**

Taką to melodię straszną przepojoną bezdennym smutkiem i pełną zwątpienia, nucą dzisiaj niestety miliony ludzi. Nucą ją miliony, lecz nie są to ci, od których najwięcej by się tego spodziewać można: chorzy, biedni, prześladowani, lecz nucą ją ci, których my zazwyczaj do szczęśliwców zaliczamy, którzy jednak mimo

posiadanych majątków, więcej myślą o powrozie i kuli, aniżeli o radościach życia.

Już czasy rzymskiego pogaństwa znały tę straszną, wyżej opisaną chorobę, bolączkę świata. Kiedy zanikły resztki religijności i cnotliwości i Rzym coraz więcej pogrążał się w bagnie zmysłowości, wówczas opadła go ta właśnie choroba pesymizmu czyli zwątpienia i Rzym wnet znalazł się w agonii.

Nigdy jednak jeszcze barometr prawdziwych radości życiowych nie wykazał takiego spadku jak obecnie. Opadł do miejsca, w którym widmo zwątpienia strasznie się sroży. I wielkie a ważne widzimy przed sobą prawo, wynikające z tych właśnie zjawisk: **Im więcej w narodzie zanika wiara, tym większa pustka i bez nadziejność ogarnia duszę.** Mówię wyraźnie „duszę“. Na zewnątrz bowiem będzie może jeszcze pojawiała się radość, ale radość dzika, próżna. **Na zewnątrz**, w każdą niedzielę podniecające zabawy. **Na zewnątrz**, używanie za używaniem, ale **wewnątrz** straszna próżnia. **Wewnątrz**, — niby niewiasta, co wyżyła się, której oko wybladłe, cera bezkrwista, — tkwi **dusza, co jęczy, narzeka i przeklina.**

W takim to stanie znajduje się ludzkość dzisiejsza, mimo wszelakich na terenie duchowym i gospodarczym postępów. Tonie coraz więcej.

Taki obraz przedstawia świat bez Jezusa.

Im dalej od Jezusa, od wiary, tym więcej narzekania i rozpacz. **Albo przy Jezusie, albo w obozie tych, co na świat przez czarne patrzą okulary.** Pesymizm jest nieodłącznym towarzyszem świata bez Chrystusa. Tam zaś, gdzie Chrystus, tam na pesymizm miejsca nie ma. Świat Jezusowy go nie zna. Prawdziwe chrześcijaństwo niesie **pokój i radość życia.**

Posłuchajcie, co głoszą zwiastuny Jezusowi: „Pokój na ziemi ludziom dobrej woli“. Posłuchajcie samego Jezusa: „Pokój mój zostawiam wam, pokój mój daję wam“ (św. Jan 14, 17). „To wam powiedziałem, aby wesele moje w was było a wesele wasze wypełniło się“ (św. Jan 15, 11). Posłuchajcie jeszcze św. Pawła: „A owocem Ducha jest miłość, wesele, pokój“ (Gal. 5, 32).

Pokój i radość chrześcijanina spoczywają na tak silnych fundamentach, tak silne mają podpory, iż nie załamują się nawet pod brzemieniem cierpień i prześladowań. Przeciwnie! Chrześcijanie cieszą i weselą się, gdy spotyka ich potwarz, przekleństwo i prześladowanie (św. Mat. 5, 11). Albowiem utrapień tego czasu nie można porównać z przyszłą chwałą (Rzym 8, 18). Św. Paweł w swym utrapieniu pełen jest pociechy. Podczas gdy jego rówieśnik Seneca jako ostatni środek wyjścia z cierpień samobójstwo zaleca, on zakuty w kajdany, woła do pełnego smutku świata: **„Radujcie się zawsze w Panu, powtarzam, radujcie się.“**

Chrześcijaństwo posiada więc o wiele więcej radości, aniżeli wszelkie inne wyznania i światopoglądy. Wrogowie chrześcijań-

stwa widzą radość swą tylko w bogactwie, zdrowiu, używaniu, sławie, a chrześcijaństwo znajduje ją jeszcze w cierpieniu. Chrześcijaństwo nakazuje nam wynieść się z uśmiechem ponad te utra-pienia i przewyciężyć je cierpliwością. Niewierzącemu człowiekowi nie pozostaje tymczasem nic innego, jak bezsilne i bezna-dziejne jęczenie pod ich jarzmem.

Jezus nie patrzył na świat czarno — mimo, że płakał, mimo, że cierpiał. Udzielać wszędzie radości, goić otwarte rany, za-rzucać pomosty między niebem a ziemią, przemieniać nędzę ży-ciową, osłodzić cierpienia, usunąć powody, aby narzekanie nie znalazło gruntu podatnego, **oto cele życia Jezusowego**. Prze-cież i Jezus brał udział w radościach życia. Czuł się dobrze w gronie wesołych dzieci, bywał chętnie w kole przyjaciół w Be-tanii u Łazarza, Marii i Marty.

Jest prawdą, że Chrystus mówił także o dźwiganiu krzyża, mówił o śmierci, o piekle, o sądzie. — Postawić chciał przez to tylko tablice ostrzegawcze, aby człowiek, ani tu ani tam nie utra-cił prawdziwych radości i nie szukał ich tam, gdzie ich znaleźć nie może. To pewne, że od Jezusa dziwna biła powaga, ale spo-tyka się ją u wszystkich wielkich ludzi. Nigdy jednak nie możemy powiedzieć, że Chrystus na świecie wszystko widział czarne. On pesymistą nie był. Chrześcijańskie narody i czasy zawsze noszą swój charakter jasny i pogodny. **Gdzie Jezus, tam wiara, nadzieja, miłość i pokój.**

W mitologii (nauce o bożkach) greckiej znana jest postać Tantalusa. Tantalus dostał się po śmierci w zaświaty. Tam tkwił pod same usta w rzece pełnej płynącej wody, czystej jak kryształ. Nad jego głową uśmiechały się do niego prześliczne owoce. Cóż z tego, kiedy będąc głodnym, sięgał po nie ręką, odsuwały się. Gdy napić się pragnął wody, usuwała się pod nim. Tak Tantalus zginąć musiał marnie z głodu i pragnienia. Cierpienia te dla niego były piekłem.

Podobnie dzieje się tam, gdzie panuje niewiara i zwątpienie. Jeśli wyciągnie się rękę za szczęściem, odsuwa się ono drwiąco. Oto piekło nowoczesnego świata!

Chrześcijaństwo zaś jest nowiną radosną. Chrystus przy-szedł, by światu przynieść z powrotem utraconą przez niego radość. **Radość we wszystkim i mimo wszystkiego.** Radość we-wnętrzną. Radość płynącą z wiary, nadziei i miłości. **Dlatego, bracia, radujcie się zawsze w Panu, powtarzam wam radujcie się!**

R. Maeder.

Nie śmiem, nie mam ochoty, nie chcę i nie potrafię — takie najczęściej dajemy Bogu odpowiedzi.

M. Gw.

O naszej nowej intencji.

Tegoroczne hasło Akcji Katolickiej poświęcone jest sprawie wychowania. Jak ważnym zagadnieniem jest wychowanie młodego pokolenia, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Młode pokolenie rozstrzyga o losach rodziny, państwa i Kościoła. Dlatego te trzy czynniki muszą, na wychowanie swój wywierać wpływ, i uzupełniając się wzajemnie kształtować dusze młodego pokolenia.

W wychowaniu nie wolno jednak zapomnieć, że najważniejszym czynnikiem nie jest trud fizyczny i umiejętność ludzka, ale **wpływy nadprzyrodzone, wpływy łaski Bożej**. O tych wpływach każdy wychowawca powinien pamiętać. Dlatego obok umiejętności wychowawczej, należy, a raczej z umiejętnością wychowawczą z konieczności łączyć się winna modlitwa.

W wychowywaniu łaska Boża, wyjednana przez modlitwy, działa niby słońce i ona dopiero żyznymi czyni wszystkie wysiłki ludzkiej umiejętności wychowawczej. Jak roślina, jak kwiat pod wpływem słońca się rozwija, tak wychowanie osiąga dopiero pod wpływem łaski Bożej prawdziwe owoce. I dziwną jest rzeczą, że łaska ta działa **niewidzialnie, ale owoce jej w krótkce są widzialne i wprost namacalne**.

Jakże często narzekają rodzice, iż nie wiedzą sobie rady z dziećmi, że dzieci tak bardzo są złe, a, niestety, rodzice nie sięgają do środka najskuteczniejszego do **pomocy Bożej** w wychowaniu, **nie sięgają do modlitwy**.

Czyż bez modlitwy możliwe są tak wielkie zmiany, jakie dokonują się w niejednej młodzieńczej duszy?

Czyż można sobie wytłumaczyć zmianę życia i nawrócenie św. Augustyna bez modlitw św. Moniki? A wiele innych moglibyśmy wyliczyć imion wielkich i świętych ludzi, co modlitwom matek zawdzięczają życie szczęśliwe, bogobojne i dla ojczyzny owocne!

Modlitwa towarzysząca wychowaniu już w pierwszych latach, kiedy dusza dziecięca jeszcze jakoby niezapisaną jest kartą, kiedy pierwsze niejako sieje się w nią ziarnka, czyni duszę gruntem podatnym, ziemią żyzną, na której pod wpływem dalszych wy-mo-dlo-nych łask te umiejętnością ludzką wpojone hasła i zasady kiełkują, utrwalają się i krzewią.

Kto więc, wychowując, nie prosi Boga o łaskę, pozbawia się wielkiej pomocy wychowawczej, pozbawia się wielkiego środka wychowawczego, którego nawet największy wysiłek czysto ludzki zastąpić nie jest w stanie.

Dlatego módlmy się, aby wszyscy wychowawcy tę wielką prawdę zrozumieli, iż we wszelkim wychowaniu konieczna jest pomoc Boża, wyjednana przez modlitwy.

Bóg się rodzi!

W tysiącach obrazów, obrazków i szopek oglądamy rokrocznie Boże narodzenie. I przyzwyczailiśmy się w maleńkim, a ślicznym Dzieciątku Jezus widzieć tylko „dzieciatko“, dziecie ludzkie.

Maleńki, czarujący człowiek oto spoczywa na sianku, w żłóbku betlejemskim. Człowieczeństwem swym bezbronny pociąga i zniewala serca nasze. Takim go przedstawia malarstwo i rzeźba, — podkreślając w Jego Osobie człowieczeństwo. Takim opiewa Go poezja prawie wszystkich naszych kolęd. Tylko nieliczne z pośród nich uderzają w najwyższy ton wiary: „Bóg się rodzi“

Tak, „Bóg się rodzi!“ — Często bowiem zapatrzeni w słodkie rysy Dziecięcia Najśw. Maryi Panny, zapominamy o Synu Boga żywego. A przecież w postaci tego Dzieciątka nawiedza ziemię Pan i Bóg nieskończonego Majestatu.

Ten Sam, o którym ewangelista powie: „Na początku było Słowo, a Słowo to było u Boga, a Bogiem było to Słowo.“ Ten Sam, który wyznał o sobie jawnie: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy... kto mnie widzi, widzi i Ojca.“ Ten Sam, o którym przed wielu wiekami głosili prorocy: „Oto Panna pocznie i porodzi Syna i nazwą Imię Jego Emanuel, to znaczy Bóg z nami... I będzie Imię Jego — Przedziwny, Bóg, Mocny, Ojciec przyszłego wieku, Książę pokoju.“ Ten Sam, na którego współcześni Mu „żydzi porwali kamienie, aby Go ukamieniować, ponieważ... ty, będąc człowiekiem, czynisz się sam Bogiem“ (Jan X, 30). A gdy im kamienie z rąk wypadły, porwali za miecz krzyża. Zasadzili Go i zabili na Golgocie nie za co innego, tylko za to, że się „czynił Synem Bożym“.

Zaprawdę, święcimy przy żłóbku „Boże“ Narodzenie. Nie na człowieka czekał świat kilka tysiącleci, bo wiele w tym czasie ludzi się narodziło. I nie na wielkiego mędrca ani króla czekały pokolenia ludzkie, bo wielu mędrców i królów wydały ze siebie i płakać musiały na ich pustą mądrość, na ich nędzne rządy. Ani na geniusza oczekiwała ludzkość upadła, bo geniusz, choćby nie wiem jak genialny, nie ogarnie swym rozumem potrzeb wszystkich pokoleń, co są, były i będą. Ludzkość upadła, grzechem uciemiona, z utęsknieniem wyglądała, kiedy zabłyśnie dzień wyroczny przyjscia na świat Syna Bożego. Ten, który stworzył ród ludzki, musi go Sam przetworzyć na nowo, w jego najmniejszych komórkach, grzechami skażonych. I On sam przyjść musi, jak zresztą zapowiedział pierwszym rodzicom w raju... Aż wreszcie przyszedł na ziemię i zakwilił w pieluszkach... Tym słodszy, tym miłszy, tym bardziej ukochany, — ale to nie człowiek tylko. „Bóg się rodzi!“

Kiedy maleńki Jezus przychodził na ziemię, zastał na niej pełno bogów i bogiń. Wprowadzie Jeruzalem i Ziemia św. wolna była od ich posągów, ale wszystkie miasta Rzymu i Hellady, Egiptu i Azji zaludniał tłum „boskich“ figur i rzeźb. W umysłach ludzkich

istniało zrozumienie, w sercach ludzkich było mieszkanie dla bóstw fałszywych, ale dla prawdziwego Boga w ciele ludzkim „miejsca nie było w gospodzie“. Syn Boży nie znalazł pełnego dla Siebie zrozumienia. Ludzie przyzwyczaili się „bawić“ bożkami, nie wiele troszcząc się o to, aby się „zbawić“. A zbawienie przynieść mógł tylko prawdziwy Bóg, współistotny Ojcu — Syn Boży.

On, który choć pełen niemocy w żłóbku, jednak prowadzi po błękitach nieba gwiazdę cudowną i gwiazdy. On, który choć skrępowany pieluszkami, rządzi wszystkim i wszystko utrzymuje w istnieniu. Jego maleńkie, prawie bezwładne rączki dźwigają wszechświat nad otchłanią nicestwa, utwierdzają ziemię i niebo. Jego słodkie oczęta swym wejrzeniem obejmują wszechstworzenie, przenikają do tajników dusz i sumień, przepatrują mroki przeszłych i przyszłych pokoleń. Różowe usteczka Dzieciny tają w sobie słowa Mądrości wiekuistej. Jednym słowem Dziecię w żłóbku jest żywym i prawdziwym Bogiem.

Jego to przyjścia oczekiwała ziemia wówczas. I dziś oczekuje. Ziemia cała, wszystkie narody i każdy człowiek, oczekują Boga żywego.

Zagarnia nas olbrzymia machina świata. Tysiące kół w niej i kółek, miliony śrubek, pasów, połączeń, cewek. Maszyna ta wiecznie w ruchu, nie zna spoczynku. A świat ludzki tak od początku skłonny do odchylenia od jednolitego pionu! Tak łatwo w nim rozluźnia się tu cewka leniwa, tam śrubka nie dość dopasowana, gdzie indziej kółko złamane odpada. A maszyna w ruchu... Stale naprzód dąży nurt życia. Ileż katastrof grozi takiej maszynie! Jak przedziwnie mądra ręka kieruje nią i prowadzi!

Gdzieś od wewnętrznych, zatajonych komór ludzkości puszcza w ruch maszynę ludzkich stosunków Moc Boża. Nikt nie widzi jej twórczej, zabiegliwej, troskliwej pracy. A jednak nad maszyną tą Bóg pracuje w każdym momencie. I jednego tylko chce, aby z wewnętrzną Jego działalnością, z wewnętrznymi planami Jego, uzgodniona została zewnętrzna, powierzchowna praca: ludzi dla samych ludzi.

W miarę rozrostu pokoleń ludzkich i stosunków na całym świecie, myśl ludzka staje bezradna. Nie umie się zorientować w całokształcie zagadnień. Jak za dni Augusta trzeszczały wytracone ze swych miejsc ludzkie cewki i śrubki starożytnego świata, a rozумы ludzkie stawały wobec nich bezsilne, tak samo dzieje się dziś. Starożytny chaos stosunków ludzkich powtarza się w czasach nowych, tylko w dziesięciokrotnej potędze. Wysilają się bezskutecznie rozумы ludzkie, jak podokręcać wypadłe cewki, rozluźnione śrubki ludzkich stosunków, kiedy dwumiliardowa maszyna przecież nie stoi, lecz jest stale w biegu, i to w biegu wprost szalonym?

Ręce ludzkie opadają. Rozумы ludzkie się kończą. Potrzeba rozumu Boga Człowieka. I oto „Bóg się rodzi!“

Znów pomyliłeś się!...

Ogromna ludzka podejrzliwość i fałszywe posądzania są przeszkodą, dla której nie może zakwitnąć prawdziwa miłość między ludźmi. A wiadomo, bez miłości bliźniego nie ma miłości Boga! Kto cośkolwiek będzie zważał na siebie, zauważy, że podejrzliwość i niesłuszne posądzania opanowują człowieka w straszliwy sposób, opanowują jego mowę, myśli i uczynki. Jakże często uwidują się nam u bliźniego zło i błędy bez dostatecznego powodu? Spójrzmy tylko w życie codzienne:

Na rogu ulicy stoi młode dziewczę. Stoi całą godzinę z pewnym młodzieńcem. Odrazu złe myśli i języki ludzkie zaczynają snuć różne domysły. A nawet pracują niby telegrafia bez drutu. O skandalicznym wystawianiu młodej panienki już doniesiono rodzicom, nawet zanim ona do domu wróciła. W domu dochodzi do wymówek i gorzkich słów ze strony rodziców. — A jak wygląda prawda? Młody ów człowiek wybierał się na pewne niemoralne przedstawienie do podrzędnego kina w sąsiednim mieście. Młoda panienka potrafiła młodzieńca zatrzymać tak długo, aż odszedł pociąg. Młodzieniec spóźniwszy pociąg, ocalał przed grzechem.

A zatem w posądzaniu gruba zaszła pomyłka!

O późnej godzinie wieczornej przechodzi młody kleryk przez ulicę miasta. Nagle ktoś go zatrzymuje, odzywa się do niego językiem obcym, którego on nie rozumie. Ciemna noc, dziwaczny wygląd obładowanego różnego rodzaju paczkami mężczyzny, sprawiły, że seminarzysta nie zwraca uwagi na prośbę, lecz zostawienia człowieka w spokoju i przelekniony uchodzi. Zresztą lekarz zakazał mu dzwigania jakiegokolwiek ciężaru, gdyż znajduje się krótko po operacji. Nieznajomy zaś osobnik nie zrozumiałwszy sytuacji, daje głośno wyraz swego niezadowolenia, nazywając kleryka grubianinem i zaczyna wyzywać na księży. Często uwierzą takiemu, niestety, nawet ludzie rozsądni.

A jednak mylą się wszyscy.

Pewien młody mężczyzna przystępuje codziennie do Komunii św. w pozycji stojącej, lekko tylko pochylony. Każdemu wydaje się taka postawa bardzo dziwaczna. Nawet pewien kapłan gorszy się jego zachowaniem i prosi go, by ukląkł. I wykazało się wtedy, że człowiek ten ma na kolanie wielką ranę i ukląknąć nie może.

Zatem znów pomyłono się.

W pewnym kościele na chórze organista przygrywa na organach siląc się z odczytywaniem nut w półmroku panującym na chórze. Nikt z otaczających go śpiewaków nie podnosi się, by zaświecić światło. Pewne zdala stojące osoby zaczynają gorszyć się taką niegrzecznością i nieuprzejmością stojących bliżej organisty osób. Po skończonym nabożeństwie okazuje się, że

żarówka na chórze była przepalona, o czym wiedzieli bliżej stojący śpiewacy a nie wiedziały o tym tamte osoby.

A więc znowu się pomyłono.

Pewien młody mężczyzna spotyka w nocy na ulicy znaną mu z wesołości i lekkich żartów młodą dziewczynę. Na drugi dzień opowiada o tym różnym znajomym, nie szczędząc przykrych słów o lekkomyślności dziewczęcia i nierozsądku rodziców, pozwalających o tak późnej porze przebywać tak młodej dziewczynie poza domem. Po południu dzwonią w dzwon konających. Matka wspomnianej dziewczynki umarła. Zachorowała nagie w nocy a córka musiała pobiegnąć po lekarza i księdza.

Zatem pomyłono się znowu.

O, jak bardzo krzywdzące są nieraz takie sądy.

Pewien kapłan zajmuje się zbyt wiele pewnymi młodszymi osobami. Zdaje się, że czas swój poświęca tylko dla grona pewnych wybranych osób. Złe języki ludzkie zaczynają działać. A tymczasem — jedna z tych osób nosiła się z zamiarem wejścia w nielegalny związek małżeński. Tylko dzięki cierpliwości i dobroci księdza, dzięki ciągłym przymówieniom, udało się odwieść ją od złego zamiaru. Druga osoba tegoż grona żyła w zgniliźnie moralnej. Modlitwy i nauki dobrego pasterza podniosły ją na duchu i dopomogły do rozerwania niewolniczych kajdanów. Trzecia osoba walczyła z wielkimi trudnościami życiowymi i bezustannym przygnębieniem. Całe godziny, tak, całe połowy dnia, poświęcał jej duchowny przyjaciel. Syn marnotrawny powrócił do swego Ojca.

Znowu pomyliły się złe języki.

„Zatem pomyliłem się i nie mogę tego naprawić!“ Tak jest, pomyliłeś się, a więc w przyszłości zważaj!



Wytrzymałość.

Most, który nie jest należycie zbudowany, załamie się już przy próbnym obciążeniu. Jeśli mur stanowiący zaporę wodną nie będzie dość silnym, ustąpi niespodziewanie napierającym mąsom wód. Gdy ściana kotła gazowego będzie za cienka lub uszkodzona, rozsądzi ją silne parcie gazu. Most, mur, kocioł gazowni, zawiodą swoich twórców.

To samo dzieje się z niektórymi duszami. Pewnemu człowiekowi, zajmującemu poważne stanowisko w obrębie organizacji katolickich, ofiarowano bardzo pojętne i dobrze płatne stanowisko pod warunkiem, że złoży wszelkie swe czynności w katolickich

stowarzyszeniach. Próba ta była zbyt silna. Za kilka złotych sprzedał Kościół i katolickie przekonanie.

Klara była dziewczynką wzorową. Codziennie przystępowała do Komunii św. Wychodzi zamaż. Mąż jej jest dobry, ale w sprawach religijnych obojętny. Kilka miesięcy wystarczyło, by uczynić z Klary całkiem zwykłą, przeciętną sobie katoliczkę, co opuszcza nieraz niedzielną Mszę świętą a prawie zawsze niedzielne kazanie.

Marta pragnie pójść za ukochanym Zbawicielem, pragnie służyć mu do śmierci, chce być bardzo pobożną i prawdziwą apostołką. Razu pewnego ktoś w jej obecności chwali pewną osobę, jako wzór katolickiego dziewczęcia. Marta traci odrazu swój miły uśmiech. Zazdrość wywołuje zły błysk oczu i bladość twarzy. Co taką osobę się chwali?! — Chodziło o jej nieprzyjaciółkę. A więc Marta nie wytrzymała próby.

Karol jest bardzo religijnym młodzieńcem. Można na nim polegać. W stowarzyszeniu K. S. M., w którym piastuje urząd prezesa, są nowe wybory do zarządu. Karol w ostatnim czasie był trochę zarozumiały i zaraz wyczuli to chłopcy. Otrzymuje więc tylko kilka głosów i wskutek tego nie wchodzi w skład nowego zarządu. Utratę zaufania uważa za wielkie upokorzenie. Odtąd już nie przychodzi do stowarzyszenia. Próby nie wytrzymał.

Małgosia posiada bardzo serdeczną przyjaciółkę. Obie są niby jedno serce i jedna dusza. Pewnego dnia zapoznała się Małgosia z pewnym młodym dziewczęciem, i okazuje mu dużo serca. Dla pierwszej przyjaciółki, próba ta jest zbyt wielka. Już nie posiada tyle sił, by pokusę zazdrości pokonać. W gniewie robi wielką scenę i wypowiada Małgosi przyjaźń.

Czy próby te były rzeczywiście za silne? Czy obciążenia były zbyt wielkie? — Nie, tylko dusze były małe i słabe. Brakowało im szlachetności i wielkoduszości. Zbyt wiele zważały na siebie. Nie zdobyły się na prawdziwą szlachetność, nie stały się podobne do Chrystusa. Zaślepione w stosunku do własnych błędów, patrzą na wady drugich niby przez szkło powiększające, pobożność ich fałszywa, kochają swoje własne „ja“, zamiast ukochanego Zbawiciela, kochają w bliźnim nie obraz Boga, tylko naturalne, zewnętrzne przymioty budzące w nich sympatię. Myślą w pierwszym rzędzie o sobie samych, gdy tymczasem szlachetna i wielka dusza odsuwa się na dalszy plan. Każda, nawet najzwyczajniejsza próba jest dla nich już zbyt silna.

Sprawa Boża i dobro ludzkości wołają dzisiaj za duszami wielkimi, za katolikami silnymi, bohaterami, co za Bożą pomocą nawet próby męczeństwa zwycięsko przetrwać zdolni.

Najpierw przez trzy sita.

Do uczonego Sokratesa przybiegł jakiś człowiek wielce podenerwowany. — Słuchaj Sokratesie, muszę Ci to opowiedzieć, co Twój przyjaciel...

— Zatrzymaj się! — przerwał mu mędrzec — czy to co mi chcesz powiedzieć, przepuściłeś już przez trzy sita?

— Trzy? jakie trzy sita? — zapytał drugi szczerze zdziwiony.

— Tak, drogi przyjacielu, przekonajmy się czy to, co powie-
dzieć chcesz, przejdzie przez trzy sita.

Pierwszym sitem to prawda. Czy przekonałeś się, czy to co mi chcesz powiedzieć polega na prawdzie?

— Nie, opowiadano to i...

— A czy posłużyłeś się drugim sitem, sitem dobroci? Czy to co masz mi do powiedzenia, skoro nie jest na pewno prawdą, jest przynajmniej dobrym?

— Ależ nie, przeciwnie...

— To weźmy jeszcze trzecie sito i przekonajmy się czy
potrzeba koniecznie, abyś mi to mówił?

— Potrzebnym to właściwie nie jest.

— A więc skoro rzecz, którą tak bardzo chcesz mi powie-
dzieć, nie jest ani prawdziwą, ani dobrą, ani potrzebną, zostawmy
ją w spokoju i nie obciążajmy nią siebie.

**Już filozofia pogańska do tego stopnia cenila honor bliźniego. O ileż więcej troskliwie powinien się chrześcijanin obchodzić z czcią
drugiego!**



Dzielny Krzysztof.

Palestyna była jego ojczyzną — ale o Chrystusie jeszcze nic nie słyszał. Wędrował przez noc pogaństwa. Wiosna czyli pierwsza połowa życia jego nie znała słońca, gdyż brak mu było Chrystusa.

Poprzez dalekie słył kraje jako potężny wojownik. Czoło jego wysokie i dumne zdobyły rysy szlachetne. Oczy były błyszczące i jasne.

Dużo zwycięskich przebył wojen. Dlatego dzielność i niezrównana siła jego znane były szeroko i niosły sławę jego przez dalekie kraje wzdłuż i wszerz. Niejeden z książąt panujących ofiarował mu godność stróża przybocznego.

On jednak w poczuciu swej siły chciał służyć tylko najmocniejszemu monarsze świata. Pewnego dnia nakłada na siebie

zbroję, bierze broń — i wędruje od miasta do miasta, od wsi do wsi i woła: „Najpotężniejszemu panu na świecie służyć pragnę, ale tylko temu, który się nikogo nie lęka. Powiedzcie, gdzie znajdzie najpotężniejszego władcę, przed którym inni schylają czoła?!“

Nie mógł znaleźć takiego. I tak przyszedł aż do cesarza rzymskiego, któremu naród oddawał cześć boską. Ale cóż, cesarz lękał się potężniejszego od siebie. Pewnej ciemnej nocy widzi nasz bohater cesarza kłaniającego się głęboko szatanowi, księciowi ciemności.

Opuszcza tedy Rzym z szyderycznym uśmiechem i pogardą dla cesarza, otoczonego czcią boską a lękającego się potężniejszego.

Wędruje tedy samotny przez góry i doliny, by znaleźć tego, którego nawet cesarz się lęka, szatana. Znalazłszy go, oddaje mu się na służbę.

Lecz niedługo mu służył. Pewnej burzliwej nocy pędzi z szatanem poprzez ciemny głęboki las. Przed nim zły jedzie na ognistym rumaku. Błyskawice i grzmoty rozlegają się dokoła. Wojownik, zaślepiony blaskiem i mocą szatana wśród ciemności, podziwia swego pana: „Zaprawdę, teraz służę największemu panu świata, który nikogo się nie lęka!“

Przejeżdżają obok samotnej chatki. Tam na drodze widnieje dziwny znak. Stoi na brzegu ścieżki leśnej, nie daleko od chaty. Dwie belki skrzyżowane — a na nich zawieszona postać ludzka, której głowę głęboko schyła dziwna wieńczy korona...

Na widok tego znaku zatrzymuje się piekielny jeździec — i szerokim susem napędza konia spowrotem. — „Stój szatanie!“ woła nasz bohater — „dokąd uciekasz? kogo się lekasz?“

„Tego tam na krzyżu!“ wykrztusił szata z gniewem — „on jest potężniejszym ode mnie!“ — i uciekł..

„Ten jest potężniejszy od szatana? Ten człowiek, uśmiercony, wiszący na drzewie krzyża?“

Zdziwiony, stoi nasz bohater w swej błyszczącej zbroi przed krzyżem. ...Dobrze, chcę go szukać — króla wszechmocnego, którego godłem jest krzyż!“

Wstępuje do samotnego domku leśnego i wypytuje pustelnika w nim mieszkającego o potężnym Panu, którego godła szatan się lęka. Pustelnik objaśnia mu wszystko. Pyta się jeździec: „Powiedz mi teraz jak mogę służyć Królowi nad Królami, Jezusowi Chrystusowi, jak mogę się stać rycerzem krzyża?“

Wtedy dziwną usłyszał wieść. Wieść, co sprawiła przewrót w wszelkich jego dotychczasowych pojęciach: Chrystusowi służy się nie zemstą i dziką obroną, lecz Chrystusowi służy się przez pokorę i zaparcie się siebie — przez ofiarę. Królestwo bowiem jego nie jest z tego świata... „Ćwicz się w postach, modlitwie i rozmyślanii“, tak kończył opowiadanie swe pustelnik.

Takich rzeczy on, twardy żołnierz, nigdy nie słyszał i tego nie potrafi. — „Postu nie wytrzyma moje silne ciało, a ku rozmyślanii nie mam zdolności!“

„Jest jeszcze inna droga służenia Chrystusowi. Droga, która wszystko inne zastąpić zdolna: droga służącej czyli poświęcającej się dla drugich miłości“ — i tą bohater nasz wybrał.

Daleko — nad rwącym potokiem, gdzie nie ma mostu do przebycia, buduje swą chatę. Zbroje i miecz odkłada na zawsze. I tam przez rzekę dniem i nocą przenosi podróżnych i pielgrzymów. Przenosi ich na swych barkach, on, olbrzym, któremu woda sięga jedynie do kolan.

Z pokorą, tylko dla wiecznej nagrody, spełnia gorliwie tę służbę miłości, do czasu, aż pewnej pięknej cudownej nocy przenosi przez rwący potok samego Zbawiciela.

Od tej chwili nadano mu imię: Chrystophorus — nosiciel Boga.

Od tego to czasu pragnie on nieść Chrystusa nie tylko przez rzekę, lecz pragnie nieść go w dusze ludzkie.

Wybiera się na powtórna wędrowkę od miasta do miasta, od wsi do wsi i cudowne wygłasza wieści o Chrystusie. — Tysiące nawracają się ludzi. Nawrócił ich około 18 tysięcy. Porwał wszystkich i pociągał za sobą do służby miłości u Pana, stojącego nad wszystkimi królami, bożkami i nad szatanem.

Cesarz Decjus, ten straszny prześladowca chrześcijan, każe go w 250 roku pojmać. Pokornie, bez szemrania, bez użycia swej siły ku obronie własnej, kładzie Chrystophorus olbrzymie swe ręce w żelazne kajdany i dla Chrystusa pozwala prowadzić się przed sąd.

Kiedy jednak tam chcą zmusić go do złożenia ofiary fałszywym bogom, wtedy odzywa się grzmiącym głosem tak potężnie, że wszystkie filary w sali sądowej zadrżały: „Temu mam złożyć ofiarę? Nigdy tego nie uczynię! Służę tylko najpotężniejszemu Panu, a jest nim Chrystus ukrzyżowany! On zniszczy wszystkich bogów waszych jednym swym wszechmocnym słowem.“

Po tym zajściu nawracają się obecni na sali żołnierze i umierają śmiercią męczeńską dla Chrystusa.

Sdziowie każą Chrystophora biczować, na głowę wsadzają mu rozpalony do czerwoności hełm, ciało jego oblewają olejem i tak umęczonego wrzucają w ogień. Lecz Chrystus jest potężniejszym od królów tego świata: Chrystophorus wychodzi z ognia i mak cały.

Wreszcie ścinają mu głowę — a dusza jego męczeńska ulatuje do Boga, któremu służył tak wiernie.

Taki jest żywot Chrystophora, którego kościół zalicza w szeregi świętych.

Naśladujmy go! Przenośmy Chrystusa od duszy do duszy! Przenośmy Chrystusa przez fale cierpień! Chociaż ciężar przyniata ramiona, wytrwajmy, gdyż nadejdzie i dla nas czas, w którym dobijemy do brzegu wieczności, nadejdzie czas, kiedy Chrystus do nas się odezwie: „Nie bój się! Służyłeś mi wiernie w doczesności, służ mi radośnie i w wieczności.“

Pomocna dłoń.

Dwaj przyjaciele wstąpiwszy do składu jubilerskiego przeglądają drogocenny zbiór szlachetnych kamieni. W różnych kolorach i odcieniach błyszczą i mienia się kamienie wielkie oraz małe. Po między nimi dostrzega jeden z przyjaciół kamień, który nie dorównał innym ani blaskiem, ani pięknem.

— Jakim sposobem włożono ten zwyczajny kamyk do zbioru kamieni szlachetnych? Przecież na nim nic pięknego ani wartościowego nie znajduję — mówi do swojego towarzysza.

Ten bierze kamyk i trzyma go przez chwilę w zamkniętej dłoni. A kiedy otwiera rękę, kamyk, który wydawał się niegodnym zwrócenia na siebie uwagi, świecił prześlicznym blaskiem i pięknymi kolorami.

— Jak to możliwe? — dziwi się przyjaciel.

Na to taką usłyszał odpowiedź:

— Kamień ten, to opal tak zwany kamień sympatyczny. Aby zajaśniał swym blaskiem, potrzeba mu pomocnej dłoni — ciepło ręki wyczarowywuje te blaski.

Podobnie dzieje się z ludźmi. Wiele ubogich i opuszczonych ludzi małych i wielkich potrzebuje pomocnej dłoni, dobrego słowa, współczującego spojrzenia dla obudzenia blasku w smutnych oczach. Naszym ciężkim czasom potrzeba dużo, dużo czynnej miłości bliźniego, bieda wielka i codzienne troski stają się coraz cięższymi. Współczucie, miłosierdzie i czynna miłość bliźniego przynosi słońce do szarego dnia, budzi szlachetność serca i czyni lżejszem twarde brzemie ciężkich czasów.

Taka miłość bliźniego jest owocem żywego chrześcijaństwa. „Wiara bez uczynków martwą jest.“ Wiara chrześcijańska bez miłości — byłaby obłudą, a nawet jej zaprzeczeniem. Bóg jest miłością; a Zbawiciel mówi: „Miłujcie się wzajemnie, jakom ja was umiłował.“



O uszanowaniu.

Nad uszanowaniem nie zastanawiamy się zazwyczaj wiele. Uważamy to za rzecz zupełnie zrozumiałą i oczywistą. A jednak lęk winien nas ogarnąć na smutną lecz prawdziwą rzeczywistość. Świat dzisiejszy, ludzie, a nawet my sami staliśmy się obojętni, jeśli chodzi o oddanie należytego uszanowania czy to osobom czy rzeczom, którym się uszanowanie należy. — Zdaje nam się, że wolno nam o wszystkim wydawać sądy, zdaje się nam, że już wszystko wiemy, rozumiemy i wszystko nam krytykować wolno. O głębokiem, delikatnem uszanowaniu, szacunku, wogóle nie myśli-

my. Fatalnie może się to jednak dla nas skończyć, bo kto jest niewyrozumiałym, nietolerancyjnym w swoim sądzie, kto tylko w swoje własne zdanie wierzy, temu rychło może powinąć się noga.

Dużo młodych ludzi myśli, że mogą wszystko chcieć, wszystkiego pożądać. A właśnie młodzież winna nauczyć się i zrozumieć, że wszystkiego posiadać, za wszystkim gonić nie można. Młodzież szczególnie, winna być powściągliwą w krytyce, skromną w słowie, wielkoduszną w przekonaniach. Zalety te, należą do istoty uszanowania i dobrego charakteru człowieka, przede wszystkim więc cechować winny młodzież naszą. Uszanowanie świadczy bowiem o wyrobieniu młodzieńca.

A kiedy to grzeszymy przeciwko brakowi uszanowania?

Weźmy najpierw uszanowanie **dla natury**, która szczególnie wskazuje nam wszechmoc Stwórcy. — Jakże często łamie się brutalnie kwiaty i gałązki po to, by je wyrzucić; bezmyślnie depte się trawę, nie zważa się na młody zasiew, otwiera i skubie pączki itp. Jeśli dla natury brak nam uszanowania, wtedy brak nam go będzie również dla tajemnic życia. Brakiem uszanowania jest tu również porzucanie i pozostawianie odpadków i papierów na miejscach, gdzie się odpoczywało lub obozowało.

Uszanowanie w mowie. Pewne uszanowanie winno cechować również mowę naszą. Nie wolno nam rzucać na wszystkie strony słów o głębszem znaczeniu. Zatracają one bowiem przez to swoją wartość i właściwy cel. Bardzo głębokie nieraz słowa stają się przez powszednie używanie blademi i martwemi; na przykład wszelkie przysłowia i sentencje. — Powszedniość działa na nie niszcząco, zmniejsza ich piękno i znaczenie. Mimo to, że właściwie samo słowo jest piękne, głębokie, i pełne uczucia, przez codzienne używanie powszednieje.

Uszanowanie dla dzieł sztuki. Stanowi ono dziedzinę, w której brak ogólnego zrozumienia. Napotykaemy tu często na bezrozumne wydawanie sądów. Twórczość sztuki wymaga dużo zamiłowania i znanstwa. Trzeba wysilić się, by zrozumieć artystę w jego walce, szukaniu, cierpieniu. A przede wszystkim należy z całym uszanowaniem badać, czy dzieło odpowiada wymogom prawdziwej sztuki.

Uszanowanie w obcowaniu z ludźmi. Zewnętrznych znaków przychylności lub miłości nie można wszystkim na równo udzielać. Przy obdarowaniu i przyjmowaniu, przy drobnych dowodach miłości, należy wziąć pod uwagę osobę, której dowód przywiązania oddajemy. To samo na czem traci piękne głębokie słowo, odnosi się również do okazywania dowodów naszej przyjaźni, miłości, przychylności i tp. A więc owej „codziennosci“ musimy unikać. Możemy bowiem bardzo łatwo i prędko oznakom tym odebrać ich właściwość — ich duszę. Powinniśmy więc w prostocie i szczeroci ujawniać bliźnim nasze uczucia; a nigdy nie

wolno nam udawać. Udawanie nie jest niczem innym, jak brakiem uszanowania. Uszanowanie nie znosi żadnych zbytecznych słów; dlatego wymaga ono ostrożności w mowie, w myśleniu i sądzie o innych. Człowiek więc szanujący drugich, zawsze baczy na siebie przy wydawaniu sądów o drugich i ma wyrozumienie dla osobliwości bliźniego, tj. dla jego „odrębnej istoty“, dla jego wartości indywidualnej.

Takie ustosunkowanie się przyczyni się do poważania i uszanowania nas. O ile bowiem szanować będziemy innych, im żywsze to uszanowanie będzie, tem większy będziemy zdobywali szacunek dla siebie.

Dbając o świętość duszy musimy mieć szczególny **szacunek przed Bogiem**, będącym początkiem i końcem wszelkiego uszanowania. Posiada go wprawdzie każdy przeciętny chrześcijanin. Ale czy również dla Jego **świętego Imienia**? Jak wielkie uszanowanie posiadali ludzie starego zakonu przed Imieniem Boga. Nie odważyli się nawet Imienia tego wymawiać; gdyż wybrany lud w szczególny sposób poznał wzniosłość i straszliwość bliskości Boga. Tak więc używano zamiast Imienia „**Jahwe**“ „**Bóg**“, które nie było nigdy wymawiane, Imię **Adonaj** — Pan.

To poważanie i uszanowanie Boskości zachowuje wyraźnie liturgika naszego kościoła. Liturgiczna działalność z jej znakami, szatami, przyrządami, naczyniami, i jej liturgicznym śpiewem, stawia człowieka ciągle przed najwyższą Wielkością, przed Bogiem. Z liturgiki możemy nauczyć się właściwego ustosunkowania się do życia. Liturgia uczy nas poszanowania i pokory. W niej poznajemy naszą maluczką a wielkość Bożą.

Wzywając się w ducha liturgii Kościoła, nauczymy się w najprostszym sposobie uszanowania wszechstronnego.

*



Spotkanie.

Na drodze swego życia spotykamy wielu ludzi. Na jednych ledwo przelotnie zatrzymujemy swój wzrok, zamieniamy słów kilka, obojętnych i zdawkowych, jak: „Dziękuję“, — „Dzień dobry“, „Dowidzenia“. Po czym ludzie spotkani giną w szarym, gęstym tłumie. Ale są spotkania trwalsze...

Niektórych ludzi spotykamy dzień w dzień i po kilka razy dziennie. A jak oni różnorodni! Są dobrze i źli, są doskonale wyrobieni i zupełnie nieokrzęsani, są pełni taktu i subtelnego wyczuwania i są ludzie bez taktu, gburowaci, istne kloce ludzkie. Trafiają się na drodze naszej ludzkie, których znamieniem niesprawiedliwość i fałsz, oraz dusze i serca, „w których nie masz zdrady“, jak Natanael. Spotykamy ludzi, których towarzystwa radzibyśmy się

pozbyć, choćby zaraz i na zawsze, a stykać się musimy stale z obowiązku, tudzież ludzi, którzy przelatują, jak meteor i takim olśniewają nas światłem, że z najmilszą chęcią zatrzymalibyśmy wskazówki zegara, byle dłużej móc pozostać w ich towarzystwie.

Nie można dziś kroku uczynić, by nie spotkać ludzi. Czasy pustelni i pustelników, przynajmniej w Europie, bezpowrotnie minęły. Wszędzie dokoła nas snują się bez przerwy ludzie, ludzie, ludzie... Najczęściej są to szare masy, niemal bez osobistego wyrazu, bez jasno wykształconego charakteru. Nie pozostawiają po sobie w naszej psychice śladu. Ani nam są pomocą w doskonaleniu duszy, ani specjalną przeszkodą w dążeniu wzwyż. Liche wierzby przydrożne, które nie dają przechodniom owocu ni cienia.

Jakkolwiekbaż oddziaływiają na nas ludzie samą swą liczbą, przytłaczają swą masą. Niech jaką ulicą Warszawy np. pójdzie w jednym kierunku kilka tysięcy ludzi razem, to już w kierunku przeciwnym nikt nie przejdzie. I choćby ten marsz masowy nie miał w sobie nic ideowego, był poprostu gapiostwem masowym, a ów ktoś jeden dążył na zbawienie Europy i świata — nic mu to nie pomoże. Jeden ustąpić musi obliczu mas.

Coś podobnego dzieje się z nami stale także w zakresie ducha. Ulegamy sugestii mas i liczby. Masy mają i mieć muszą swoją **łatwą moralność, bo na heroizm ich nie stać, mają swoje płytkie i powierzchowne poglądy** na najbardziej zasadnicze sprawy, bo do głębokich studiów nie dorosły i czasu na to nie mają. I oto **pod wpływem mas ulegają tej łatwiznie i powierzchowności życiowej całe szeregi ludzi, od których można więcej żądać.** Płytki nastrój mas przekreśla w ich sercu i duszy górne wołanie: „Do wyższych rzeczy jam zrodzony!“

Musimy o tem wiedzieć i codziennie zdawać sobie z tego sprawę w tysiącnych, drobnych zdarzeniach życia, że walka z masami jest obowiązkiem naszym. Ich wpływu nie unikniemy, musimy go zwalczyć osobistą tężyzną serca i ducha. Walka, rzecz jasna, nie należy do rzeczy przyjemnych. Uprzykrza się, wyczerpuje, nuży. Opieranie się wpływowi mas bywa często podobne do podróży przez piaski Sahary. Nieskończona ilość drobnych ziarenek zasypuje stopy przechodnia, czyniąc mu podróż uciążliwą, albo wręcz niemożliwą. Tak samo i ziarna tej masy ludzkiej utrudniają nam drogę wiekuistych przeznaczeń. Ale zato, kto im się oprze, kto je przewycięży, ten wywalczy sobie silny i piękny charakter, naprawdę stanie się **człowiekiem.**

Przyjdzie mu to nie łatwo. Masy wywierają na nas **wpływ uwodzielski.** Przecież to tak wygodnie nie potrzeba myśleć, zdobywać się na wysiłek osobisty, móc sobie powiedzieć: „Po co mam się wyróżniać od innych? Zawsze to niebezpiecznie chodzić własnymi drogami, zwłaszcza dziś, w takim tłumie! Z ludźmi bezpieczniej!“

Niekiedy jednak z tłumu spojrzą na nas oczy zupełnie różne od tych codziennie spotykanych. Na drodze naszego życia stanie sil-

ny charakter ludzki. Z każdego gestu, słowa wejrzenia blje na nas jakiś władczy ton, nie uznający sprzeciwu. „Masz mi się poddać i iść za mną!“ I porywa za sobą. W epokach dawniejszych porywałby setki i tysiące, w czasach obecnych porywa za sobą dziesiątki milionów.

Nie zawsze wielkość wpływu i jego szeroki zasięg idzie w parze z prawdziwą wielkością ducha, posągowością i nieposzlakowaniem życia, wszechludzką głębią rozumu. Płytkie masy łatwo dziś porwie płytka wielkość, byle nadęta. I bałwan za dni Nabuchodonozora miał wielbicieli z całego Babilonu, chociaż nie przestał być bałwanem, uznanym na rozkaz królewski za Boga...

Historia czasem się powtarza. I wówczas biada jednostkom, a jeszcze większe biada masom ludzkim, jeżeli na drodze swego życia spotkają **taką** wielkość, a nie umieją jej się oprzeć, pokonać w sobie złych jej wpływów. Czasem odbiegną Boga prawdziwego, byle bić pokłony bałwanowi ze złota...

Ale też bywa niekiedy wyjątkowe spotkanie, którego godziny zapomnieć niepodobna, którego czaru ujść trudno i dusza i serce nie chce się spod niego wyzwalać. Spotkały na swej drodze człowieka, pełnego szlachetnej wielkości, któremu z oczu zda się promienieć napis: „Święty“... Nigdy z jego ust nie padnie dla nas pytanie: „I cóż ty mi dasz, ile od ciebie zarobię?“ — najwyżej zagadnie nas z pokorą serdeczną: „Co jeszcze więcej mógłbym dla ciebie uczynić?“

Tacy naprawdę wielcy zjawiają się na świecie, jako piastunowie swych bliźnich. **Nie wyzysk ich zadaniem, lecz pomoc, lecz dobroć.** Większe, niż inni, biorą na swe barki brzemiona, groźniejsze walki toczą, bo walczą za siebie i za współbraci, lecz nie upadają na duchu. Prawica ich dźwiga Wszechmocnego, gdyż w Jego Imieniu na ten świat przychodzą.

Z nimi spotkanie, to najcudowniejsza muzyka i szczęście życia.

O takim spotkaniu pisze w swej księdze św. Jan ewangelista, że pewnego popołudnia obaj z Andrzejem ujrzeni nad brzegami Jordanu człowieka. Jan Chrzciciel wskazując nań powiedział: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata!“ Nie śmieli się doń zbliżyć, lecz On pierwszy zagadnął ich: „Kogo szukacie?“ — Na pytanie, gdzie mieszka, zaprosił ich do siebie i cały dzień już do końca spędzili z Nim razem. Po latach wielu pamiętał ewangelista jeszcze godzinę, o której nastąpiło spotkanie...

„A była godzina jakoby szósta“...

Jan Czar.

Źle zrozumieli istotę miłości ci, którzy kochają „dlatego“ lub „z tego powodu“ — ludzi kochać trzeba „pomimo...“ M. G.

Apostolstwo świeckich

Za kogo i o co mamy się modlić?

Krótko mówiąc, modlić się musimy po apostołsku. T. zn. o wszystko i za wszystkich! Za wszystkich! Niema człowieka, do którego moglibyśmy zbliżyć się w modlitwie. Któremu nie moglibyśmy w taki sposób udzielić pomocy.

Módlmy się przede wszystkim o naszą wielką rodzinę katolicką, aby Pan Bóg uchronił ją od rozbicia, podobnego do rozpraszających się strwożonych owiec.

Módlmy się w intencji naszych duszpasterzy. Za Ojca św. w Rzymie, za biskupów, tych stróżów Kościoła Bożego. Za wszystkich, co nam w Królestwie Bożem mają być wodzami i kierownikami. Za wszystkich, których zbawienie naszej pieczy powierzone i za wszystkich naszej pomocy potrzebujących. „Kościół bezustannie modlił się za niego do Boga“ mówi Pismo św. o pierwszych chrześcijanach, kiedy św. Piotr był uwięziony.

Módlmy się w intencji naszego narodu, za wszystkich, z którymi nas łączy jedność języka.

Za tych, których Opatrzność dała nam jako przełożonych.

Módlmy się za wszystkich ludzi, za najbliższych i najdalszych. Za wszystkich, co noszą imię chrześcijan i znamię Boże. A nawet za wszystkich niewierzących. Módlmy się w intencji tych, co dla Imienia Bożego cierpieć muszą prześladowania. Za tych, co żyją w nędzy, a szczególnie za tych, co jęczą pod wpływami duchowych ciężarów. Módlmy się za wszystkich, za przyjaciół i nieprzyjaciół.

Módlmy się o wszystko. O pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusowem. O pokój dla wszystkich państw. Módlmy się w każdej trosce, w każdym ucisku, w każdej radości. Całe życie nasze z jego troskami i przyjemnościami stawmy w modlitwie przed obecność Bożą.

Módlmy się również w intencji spraw Bożych. O rozszerzenie Królestwa Bożego na ziemi na wszystkich ludzi, na wszystkie bez wyjątku serca.

Modlić się nie znaczy zmówić pół tuzina „ojczenaszów“ lub kilka różańców. Inaczej z łatwością utkwilibyśmy tylko na słowach i spotkałby nas słuszny zarzut Pana: „Ten lud czi mnie wargami, a serce jego dalekie odemnie.“ Modlić się znaczy stanąć przed Bogiem, znaczy wstawić nasze życie w najściślejszy związek z Bogiem, czyli łączyć najściślej życie nasze z Bogiem. Jest to połączenie naszej pracy codziennej z jego cierpieniami i radościami. Wówczas staje się nawet praca nasza codzienna, o ile spełniamy ją w duchu ofiary dla Boga, modlitwą. I taka mowa bez słów szeptanych dochodzi także do Boga.

Droga na szczyty.

O. C. KARG. O. M. CAP.

W szkole Zbawiciela. Nieznany świat cudów.

Dziwna przesyłka. (Ciąg dalszy.)

Człowiek kroczący przez świat z prawdziwie otwartymi oczyma, może nie tylko więcej od innych zauważyć, lecz potrafi zupełnie inaczej na to, co spostrzega, patrzeć.

Poznaliśmy w poprzednim rozdziale, jak można wszystko — bez wyjątku wszystko — uważać za zarządzenie Boże, za dowód miłości Bożej.

Przyjaciele! Czyż to nie wielka rzecz, jeśli dusza powzięć potrafi tak wzniosłe postanowienie, iż odtąd **wszystko — wszystko bez wyjątku** uważała będzie za wzgląd Zbawiciela! Wszystko! A więc obojętnie, czy chodzi o rzeczy porządku wewnętrznego, czy zewnętrznego, np. zdrowie, majątek, dobrą sławę, utratę majątku, duchową oziębłość, opór, przykrość, pokusy, oszczerstwa, niesprawiedliwość, podłość, prześladowanie, obmowy, udręki różnego rodzaju itp. rzeczy. Czyż to nie jest bohaterstwem zaraz w pierwszej chwili, wówczas, kiedy cała nasza istota wprost się wzdryga i unosi, kiedy głos jakiś dziwny w nas wołać się zdaje, że to podła intryga Twego osobistego wroga, a my wówczas zdobyć się mamy na to i powiedzieć sobie: Bądź cicho, zastanów się, szukaj ukrytego listu, — listu co ci powie (za św. Pawłem), że „miłującym Boga wszystko najlepsze“.

Nie należy jednak z tego zdania błędnych wyprowadzać wniosków. Nie znaczy to, byśmy na każde uderzenie milczeć mieli. Nie znaczy to, byśmy nie szukali prawa wtedy i tam, gdzie się należy, — lecz chodzi o to, by zawsze za Zbawicielem mówić: „Panie, nie moja wola...“

To zdanie, którego prawdziwość życie naszych świętych w zupełności udowodniło, że Pan Bóg każdego z nas miłuje niewymownie, pozwala nam na następujące, cokolwiek może śmiało, wnioski:

Zbawiciel kocha Cię jak źrenicę oka. W bardzo licznie doznanych względach miałaś możność już dawno to spostrzec. Jeśli ty Jego miłujesz, On spełni wszystkie twe życzenia, które z ócz twych odczyta. A jeśli ich nie spełni, to znów masz w tym dowód miłości. Jedynie z miłości ku Tobie ich nie spełnia. W zamian za to tak wiele innych spotka Cię względów, spotka Cię ich tyle, że wprost dziwił się będziesz.

Komu raz się uda, kto raz świat Bożych cudów pozna, ten zawsze i wszędzie zachwyca się nim. Tego modlitwa zupełnie inny zyska rozmach, tego ufność staje się nieskończenie

wielką. Takiej nabierze mocy, że nic jej zachwiać nie jest w stanie. Pod wpływem takiej miłości odwaga do znoszenia przeciwności wzrasta tak, iż wnet przeradza się w heroizm. Można śmiało powiedzieć, że dusza co przywykła do tego, by wszędzie widzieć względy Zbawiciela, **nosi niebios szczęście zamknięte w własnym sercu.**

Dusza taka woła zdziwiona: istotnie, wszystko, wszystko tym, co Boga miłują, wychodzi na dobre. Wychodzą im na dobre wszelakie zarządzenia Opatrzności — obojętnie, czy biorąc rzecz po ludzku, szczęśliwe lub nieszczęśliwe — wszystkie zarządzenia dotyczące zdrowia, majątku, sławy, jak i wszystkie sprawy dotyczące współżycie z ludźmi. Za Ojcem Grou twierdzą jeszcze więcej: „Nawet wszystkie wewnętrzne stany, w które dusza popada, jak oschłość duchowa, upór, obrzydzenie, pokusy, nawet one służą ku dobremu, tym co Boga miłują.“ Co za wzniosła i wielka rzecz, właśnie w tym wszystkim widzieć względy Boże. Za owym Ojcem oraz za S. Benigną Consolată pragnę jeszcze jeden krok posunąć się dalej. Ośmielam się powiedzieć: „Nawet wady jak również grzechy wychodzą duszom miłującym Boga na dobre.“ Potwierdzenie tego widzę w słowach Zbawiciela, wypowiedzianych do nas przez Benignę:

„Niedoskonałości, które znajdują się w tej duszy, o ile dusza w nich się nie kocha, nie czynią mi przykrości. Przeciwnie, powodują serce me jedynie do współczucia. **Jak bardzo miłuję dusze!...** Niedoskonałości mają być dla duszy jakby szczeblami drabiny, po których dusza wznosi się ku Bogu przy pomocy pokory, ufności i miłości. Do takiej duszy, co się upokarza, zniżam się, by ją odszukać w jej miłości i połączyć ją ze mną.“

„Jak ogień potrzebuje materiału aby mógł palić się, tak nędza ludzka powoduje, że płomień mojej, pełnej miłosierdzia, miłości większym płoną płomieniem. Im większa nędza, tym silniejszy i jaśniejszy bije płomień. Dzieje się zupełnie podobnie jak przy ogniu, który również większym bije płomieniem, kiedy więcej dorzuca się paliwa. O, Benigno, gdyby tak ludzie poznali, jak bardzo cieszy się serce moje, gdy ludzie w miłość mą wierzą! Niestety, za mało w nią wierzą, o wiele, wiele za mało!...“

Dla naszych zrzesseń Misji Wew.

Życie Wewnętrzne Rodziny Tercjarskiej.

Referat Ojca Grzegorza. — (Ciąg dalszy).

II.

Wewnętrzne życie organizacyjne.

Do tych warunków, sprzyjających życiu wewnętrznemu Gminy Tercjarskiej, z koniecznością należy ściśle przeprowadzenie

wewnętrznego życia organizacyjnego — a to przynajmniej aż do tego stopnia, jak je zakreśla sama Reguła tercjarska.

Podstawą wszelkiej organizacji grom Braci i Sióstr Trzeciego Zakonu jest **kanoniczne założenie** Gminy Tercjarskiej. Gmina czyli Rodzina Tercjarska — sodalitas Tertiariorum — to wedle Kodeksu Prawa Kościelnego § 702,2 przepisowo założone i organicznie ustosunkowane zrzeszenie Tercjarzy. Ona jest jedyną prawną jednostką, która w Trzecim Zakonie w ogóle istnieje. Bez kanonicznego założenia Tercjarze po parafiach, nawet przy największej ich ilości, idą luzem, są pozbawieni fundamentu wspólnego życia, są jakoby bez dachu nad głową, jakoby bez własnego wspólnego domu. Przeto pierwszą troską gorliwego Przełożonego będzie, za pośrednictwem swego Księdza Proboszcza **postarać się o kanoniczne założenie Trzeciego Zakonu** przy kościele parafialnym. Tego założenia za piśmiennym pozwoleniem diecezjalnego Biskupa dokonać mogą Przełożeni Pierwszego Zakonu. Gdzie żyje przynajmniej trzech Tercjarzy, tam już o kanonicznym założeniu pomyśleć można. Skoro Trzeci Zakon jest założony kanonicznie, wszyscy w parafii istniejący Tercjarze, o ile z przywilejów, praw i łask wspólnego życia tercjarskiego pragną korzystać, do tej rodziny, kanonicznie założonej, zgłosić i wpisać się powinni. Gmina tercjarska przepisowo założona, jest osobą prawną w obliczu Kościoła, jeżeli kompetentny Przełożony Pierwszego Zakonu lub jego delegat wystawił formalny akt lub dekret założenia. Atoli jej nie przysługuje to samo prawo przed władzą świecką.

O ile Gmina Tercjarska w parafii ma nie tylko **istnieć** prawnie, ale i **żyć**, żyć życiem pełnym tętna i ruchu, o ile nie ma być tylko młynem, który wprawdzie stoi do ruchu gotowy, ale brakuje mu młynarza i młynarzów, to powinna mieć swojego **Księdza Dyrektora** i swój **zarząd świecki**. Dyrektor prowadzi dozór nad wszystkim, co się do Rodziny Tercjarskiej odnosi, nadaje jej i utrzymuje w niej ducha świętego Franciszka, służy jej funkcjami duszpasterskimi, którymi są przyjęcie do zakonu i profesji, odprawianie zebrania miesięcznego, udzielanie abszolucji generalnej, błogostawieństwa papieskiego i dyspensy. Ale obok siebie Dyrektor powinien postawić **miejscowy zarząd** Trzeciego Zakonu. Nie należy to bynajmniej od jego dobrej woli, czy w kanonicznie założonej Rodzinie Tercjarskiej, ma istnieć zarząd czy też nie, lecz jest to jego obowiązkiem, dopuścić do wyborów i umożliwić je, a to i na mocy prawa ogólnego (Can. 697, § 1) i na podstawie Reguły tercjarskiej (Rozdz. III, § 1). Taki zarząd powinien być wybierany głosami członków na publicznym zebraniu — tylko wyjątkowo i tymczasowo może być przez Księdza Dyrektora lub Wizytatora **mianowany** po raz **pierwszy**, gdy się gminę zakłada. Według Reguły zarząd wybierany jest na trzy lata. W skład jego wchodzi przynajmniej przełożony kasjer i sekretarz. Dla kobiet trzeba wybrać osobną przełożoną. Każdy z tych urzędników może mieć swego zastępcę, który w zarządzie spełniać

będzie funkcje asystenta. W rozwiniętych i kwitnących Rodzinach wybiera się także mistrza i mistrzynię nowicjuszków, którzy atoli od siebie nie mają prawa nauczania o sprawach religijnych i moralnych — mogą tylko zaznajamiać nowicjuszków o zewnętrznej karności Trzeciego Zakonu, modlitwach i ceremoniach. Przełożony i przełożona zasługują na szacunek i posłuszeństwo ze strony członków, ale władztwo ich jest raczej jakoby przybranego ojca lub przybranej matki, opierające się tylko na zakonie miłości, nie na stosunku prawnym, a nie rozciąga się raczej na Rodzinę jako całość niż na jednostkę. Jednostka podlega ich władztwu dobrowolnie, z miłości, z honoru tercjarzkiego. Przewoźny i Brat Przewoźny pamiętać winien, że sam nie jest kapłanem, że nie jest duszpasterzem, że nigdy w zupełności zastąpić nie może swego proboszcza. Niech tedy usiłuje raczej swą równowagą, pokorą i swym duchowym umiarem budująco i dodatnio oddziaływać na swe zgromadzenie tercjarzkie, niż roszczeniem sobie prawa jakiegokolwiek. U swych Tercjarzy — to prawda — musi mieć powagę i posłuch, ale — dzięki swej męskiej pobożności. Nie wolno mu też trzymać w swym ręku urzędów skarbnika, sekretarza, mistrza nowicjuszków, ale winien bez zazdrości ciężar pracy rozłożyć na asystentów.

Praca ta obejmuje przede wszystkim **książkowość**. Dobrze zorganizowanej Rodziny Tercjarzkiej w ogóle sobie pomyśleć nie można bez spisu członków ogólnego, spisu nowicjuszków, spisu członków z podziałem na stany mężów, niewiast, młodzieńców i panien, bez książki rachunkowej, protokolnej dla posiedzeń zarządu i rocznych zebrań członków, bez kroniki. Ponadto trzeba corocznie sporządzić sprawozdanie roczne i jego odpis wysłać do zakonnej centrali, to jest do najbliższego klasztoru franciszkańskiego, któremu zazwyczaj w danej parafii przystępuje prawo wizytacji Trzeciego Zakonu.

Z tego wynika niezmierną ważność **miesięcznych** lub przynajmniej **kwartalnych zebrań miejscowego zarządu**. Na tych posiedzeniach prezyduje Ksiądz Dyrektor, a tylko w jego zastępstwie Brat Przewoźny. Uchwały zarządu powzięte być muszą w obecności Księdza Dyrektora, lub w razie jego nieobecności muszą przez niego być potwierdzone. Inaczej nie mają ważności i wartości, i nie mogą być wykonane. Mimo to, i mimo swej władzy i opieki duchownej, Ksiądz Dyrektor nie ma prawa traktować zarząd miejscowy Trzeciego Zakonu jako li doradców bez decyzji. Winien raczej respektować i w swej pełni pozostawiać władze i prawa zarządu.

W celu skontrolowania i mnożenia swej działalności, oraz zdania sprawy z niej i członkom i duchownym Przewoźnym, zarząd miejscowy po sporządzeniu sprawozdania rocznego z działalności i kasy, zwoła **zebranie roczne ogółu członków**, a co rok poprosi Przewoźnych Pierwszego Zakonu o **wizytację** przez Księdza Franciszkanina. Celem utrzymania dalszego kontaktu z Pierw-

szym Zakonem oraz podniecania serafickiego zapału, członkowie zarządu jak najgorliwiej rozpowszechniać będą w Trzecim Zakonie, a nawet **poza** nim, **czasopismo** tercjarzkie, którym u nas jest „Szkoła Seraficka“. W niektórych parafiach Szkoła Seraficka narazie będzie jedynym łącznikiem z nami jako z prawowitymi Przełożonymi i Wizytatorami Trzeciego Zakonu. Dla zaznajomienia ogółu z duchem świętego Franciszka i Jego instytucyj bardzo pożytecznym i pomocnym będzie także Kalendarz Franciszkański. Więc zarząd chętnie i z poświęceniem rozpowszechniać będzie i to wydawnictwo nasze, a przynajmniej życzliwie je potraktuje.

Oprócz tego, aby poznać nasz stosunek w życiu diecezjalnym a szczególnie w Misji Wewnętrznej, każdy zarząd — według rozporządzenia J. E. ks. Biskupa — abonuje dla biblioteki dwa egzemplarze „Głosu Misji Wewnętrznej“.

Po trzech latach wytężonej pracy, stary zarząd miejscowy kwitować powinien i ustąpi nowemu. Bo wedle Reguły co trzy lata są **wybory**. Wybory te muszą być wyborami nowych członków do zarządu, a nie tylko nowymi wyborami starych członków. Poleca się jednak dla ciągłości pracy i znajomości spraw wewnętrznych zostawić w zarządzie połowę starych członków lub wybierać co półtora roku, ale na trzy lata, połowę zarządu. Kto na publicznym zebraniu ogółu, jak to powinno, większością głosów wybrany jest, nie powinien się wymawiać od objęcia nadanego mu urzędu, chyba go do tego zmuszają ważne przyczyny. Nadany urząd trzeba spełniać z całą gorliwością, wiernością i poświęceniem — nie wolno przy lada przykrości lub zmartwieniu rzucać powierzonym sobie i przyjętym przez siebie obowiązkiem.

Objawem prawie nieomylnym życia wewnętrznego i dobrej organizacji wewnętrznej, lub ich braku, jest **miesięczne zgromadzenie członków**. Trzeci Zakon bowiem jest duchowną rodziną, a jak rodzina w dni uroczyste gromadzi się koło jednego ogniska, tak też w dniu zgromadzenia dobra rodzina tercjarzka tuli się do swego Ojca Franciszka. Kto przeciw temu uchybia, podpada i okazuje brak uczucia synowskiego i rodzinnego. To zgromadzenie tercjarzkie powinno zazwyczaj odbywać się w kościele i objąć wszystkie stany, to jest mężów, młodzieńców, kobiety i panny. Wszyscy ci członkowie bez wyjątku mają w niem brać udział ze szczerego przekonania, lub dla spełnienia miłego sobie obowiązku. Do przeprowadzenia jakiegokolwiek kontroli tego udziału w Trzecim Zakonie najmniej jest miejsca i sposobności, bo, jeżeli kto, to Tercjarze działać powinni z przekonania i dla wyższych celów, z wewnętrznego zapału i dobrej intencji. Gdzie natomiast liczbę uczestników na zebraniach podnieść lub podtrzymać trzeba kartkami kontrolnymi, tam widocznie karność zakonna podupadła, tam brakuje czegoś w kierownictwie. Tam też kartki kontrolne nie pomogą, ale — oprócz kazań o zakroju stanowym i zabarwieniu

franciszkańskim — członkowie zarządu karność zakonną na wyższy poziom przyprowadzić winni, utrzymując lepszy kontakt z członkami i świecąc dobrym przykładem, mianowicie pokorą, zgodliwością i miłością bliźniego. Zbadają też swe sumienia, czy ich zgromadzenia i nabożeństwa zakonne nie są zbyt przewlekłe lub suche i zimne.

Dla dalszego pomyślnego rozwoju Trzeciego Zakonu w Okręgach i utrwalenia wewnętrznej jego organizacji, poleca się bardzo wybrać na cały Okręg osobny **Okręgowy Zarząd**. Ustosunkowanie się Zarządu Miejscowego do Okręgowego obszerniej określone jest na **legitymacji** dla Przełożonych grup parafialnych. Głównym zadaniem Zarządu Okręgowego wobec Okręgu jest, aby był łącznikiem i wskaźnikiem pracy i ruchu na cały Okręg. Powinien przede wszystkim opracowywać sprawozdanie roczne z ruchu tercjarского w Okręgu — w ogóle przykładać badawczy palec do tętna życia tercjarского, oraz współpracą, zachętą i dozorem nad rozwojem, siłą życiową i finansową zasilać Centralny Zarząd Tercjarstwa Okręgu. (Ciąg dalszy nastąpi.)



List pasterski kardynała Bertrama o różańcu.

Arcybiskup wrocławski kard. Bertram ogłosił ostatnio list pasterski, w którym wskazuje Różaniec jako najskuteczniejszą broń w dzisiejszych czasach prześladowań katolicyzmu. Walka z szerzącym się bolszewizmem musi posiadać — twierdzi kardynał Bertram — oparcie w religii. Wdzięczność można czuć dla państwa, które zwalcza bolszewizm, nie wolno jednak zapominać, że niebezpieczeństwo tkwi głębiej niż zdolna sięgnąć władza polityczna i usunąć je można jedynie przez umocnienie wiary i zasad chrześcijańskich w narodzie. Dlatego dziś zaleca się modły gorące za chrześcijan Rosji i Hiszpanii, dlatego największą troską Kościoła jest wychowanie młodzieży w duchu chrześcijańskim, dlatego chroni i popiera się katolickie instytucje społeczne i występuje przeciw wszelkim usiłowaniom odsuwania społeczeństwa od religii i Kościoła. Doskonałym i nieocenionym środkiem przeciw niebezpieczeństwom naszych czasów jest Różaniec, którego odmawianie jak najgoręcej wszystkim trzeba zalecać. Dzieje Kościoła uczą, że zawsze w chwilach ciężkich wstawiennictwo Najśw. Maryi Panny łaski u Boga wypraszało. Niech Matka Dobrej Rady — kończy swój list pasterski kardynał Bertram — będzie dla wszystkich rodziców i całych rodzin wzorem i orędowniczką, jak była pod krzyżem w pierwszych dniach chrześcijaństwa dla Apostołów.

Z życia.

Sylwetki Bohaterów Czynu.

Apostołka cyrkowców i jarmarczników.
Eugenia Bonnefois.*)

Urodziła się 25 maja 1829 roku w Dardilly, we Francji. Matka zmarła w kilka miesięcy potem; Jan Bonnefois, nauczyciel ludowy, ojciec małej Eugenii, ożenił się niedługo. Macocha kochała bardzo małą sierotkę, opiekowała się nią czule.

W roku 1830 Jan Bonnefois stracił posadę. Z powodu panujących podówczas stosunków nie miał ochoty starać się o inną, a że miał charakter niezależny i dość dziwaczny i nie czuł się dobrze na jednym miejscu, postanowił wędrować po całej Francji i prowadzić życie koczownicze, pełne nieprzewidzianych przygód, przystępując do związku linoskoczków, właścicieli wędrownych teatrów i kramarzy.

Pierwsza wyprawa małżeństwa Bonnefois, wystawiających „Świątynię Jerozolimską“, w której występowały jako aktorzy drewniane i kartonowe pajacyki, cieszyła się wielkim wzięciem. Zachęcony tym powodzeniem Jan Bonnefois zakupił sobie budę na kółkach i teraz rozpoczęło się prawdziwe życie koczownicze dla całej rodziny. Najwcześniejsze wspomnienia małej Eugenii łączą się z owym wędrującym domem, w którym spędziła prawie całe życie.

Kiedy Eugenia skończyła lat 10, nastąpiła w jej życiu wielka zmiana. Ojciec jej bowiem zaczął uważać, że nadszedł czas, aby i ona stała się pożyteczną w domu, i w tym celu nauczono ją bić w bęben i ogłaszać przybycie teatru. Skoro tylko przybywano do jakiegoś miasta, mała Eugenia, ubrana w strój męski, w piękny kostium gwardzisty i trójkątny kapelusz, obchodziła ulice i cienkim głosiakiem zawiadamiała zdumionych mieszkańców o przyjeździe „teatru“. Rodzice jej, wspaniale ubrani w aksamit, zachęcali ciekawych do wejścia, Eugenia zaś we wozie objaśniała muzeum marionetek. Tak więc zaczęła wcześniej pracować i zarabiać na życie.

Oczywiście, że przy tego rodzaju życiu nie mogło być mowy o jakiegokolwiek nauce, ani o zachowaniu przykazań kościelnych. Eugenia miała lat osiemnaście a jeszcze nie przystąpiła do Komunii św. Wiodąc cygańskie życie, rodzina Bonnefois nie należała do żadnej parafii. Na naukę nie chciano oddać dziewczęcia nigdzie, bo była potrzebna w domu. Matka uczyła ją sama prawd wiary. W czasie rocznego prawie pobytu w jednym z miast belgijskich matka zaczęła z nią uczęszczać do kościoła i uprosiła jednego

*) Z. Sikorska „Eugenia Bonnefois“. Nakład i druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka Sp. Akc., Katowice. Cena 0,50 zł.

z księży, aby uzupełnił braki w wiadomościach córki odnośnie do religii. Wreszcie po kilku tygodniach przygotowania Eugenia przystąpiła do Stołu Pańskiego.

Od tego dnia życie nabrało dla niej innego znaczenia. Ten pierwszy dłuższy wypoczynek w życiu pozwolił jej na wykonywanie obowiązków kościelnych, pozwolił jej zastanowić się nad swoim dotychczasowym życiem i zmienił zupełnie jej zapatrywania. Pojęła, że tysiące dzieci z jej środowiska żyje podobnie jak ona dotychczas, nie zna najprostszycb zasad wiary, nie umie czytać ani pisać. Należało więc temu stanowczo jakoś zaradzić. Nowy horyzont otwarł się przed jej oczyma. Celem jej życia było odtąd: uczyć inne dzieci, umożliwić im poznanie Boga i wiary. Zaczęła od uczenia brata, a potem, gdy wyruszyła w dalszą drogę z całą rodziną, gromadziła koło siebie dzieci kramarzy i linoskoczków, i na podstawie katechizmu uczyła je religii. Nieraz zabierała je do kościoła, objaśniała im obrazy świętych, sceny z Biblii, czytywała im Żywoty świętych, uczyła pacierza, robiła co mogła.

Rodzina jej jednak jeździła ciągle z miasta do miasta, a przygodni uczniowie Eugenii zmieniali się co parę tygodni. Lekcje te jednak odbywały się stale, bez przerwy, na każdym postoju.

W roku 1869 spada na rodzinę ciężki cios; pani Bonnefois zmarła. Eugenia odczuła bardzo tę stratę, tym bardziej, że jej życie z ojcem stawało się coraz trudniejsze, ponieważ obydwójce mieli charaktery porywcze i gwałtowne. Z wiosną więc wyjechała z bratem i jego żoną, objawszy „domek na kółkach“ po ojcu. Wyprawa ta nie udała się: brat jej rozchorował się zaraz po pierwszym jarmarku. Nie chcąc go oddawać do szpitala, siostra pielęgnowała go w wozie jak najtroskliwiej, z wielkim poświęceniem.

Po jego wyzdrowieniu wybuchła wojna francusko-pruska w roku 1870. Brat pojechał zaciągnąć się do Gwardii Narodowej. Eugenia została sama z „domkiem“ ojca, zabrała się wprawdzie do pracy, lecz czyniła to bez zapału. Zajęcie to trwało aż do oblężenia Paryża. Wtedy zwinęła swój „teatr“ i zgłosiła się jako sanitariuszka do Stowarzyszenia Sióstr Francuskich.

Dla Eugenii rozpoczął się nowy okres w życiu. Nie pracuje w szpitalu, dostaje się na plac boju, pełna odwagi i poświęcenia — pochyla się nad rannymi, przenosi ich do ambulansów, opiekuje się nimi. Ale wielu rannych umiera po drodze do ambulansu. Wtedy Eugenia ma jeszcze większy obowiązek do spełnienia: konającym szepce słowa otuchy, osładza ich ostatnie chwile, poddaje im słowa modlitwy. Miała też stale przy sobie krzyż, i jeżeli nie było księdza w pobliżu, podawała go umierającym żołnierzom.

Po wojnie powróciła do dawnego swojego zajęcia. Niestety nie powodziło jej się zupełnie, musiała walczyć z niestęchanymi trudnościami. Starła się założyć nawet szkołę dla dzieci kramarzy, lecz wnet musiała ją zwinąć, z powodu zbyt małej frekwencji i przeszkód natury finansowej. Mimo odporności i energii, Eugenia czuła się zmęczoną tymi niepowodzeniami, a że była już nie młoda, postanowiła wstąpić do klasztoru, aby resztę życia spędzić w spo-

koju. Poradziła się u spowiednika, ten jednak w długim i serdecznym liście odradził jej wstąpienie do zakonu, polecając, aby pozostała przy swoim zawodzie, który jej przyniósł już tyle pociechy, i aby zostawiła Bogu troskę o przyszłość.

Z nową otuchą zabrała się więc apostołka do pracy i pojechała na Targi do Rouen. Tam opowiedziała swoje kłopoty sekretarzowi arcybiskupa z Rouen. Ten zainteresował się jej planami i wyznaczył jej posłuchanie. Uszczęśliwiona, że wreszcie znalazła drogę do celu, przedstawiła arcybiskupowi swój plan apostolski i prosiła go o poparcie. Arcybiskup wyznaczył natychmiast dwóch katechetów, wyposażając ich we władze udzielania ślubów, chrztu i odprawiania Mszy św. dla kramarzy i cyrkowców. Wyznaczył też kaplicę, która stała się parafią kramarzy. Od tego czasu Rouen stało się prawdziwym ośrodkiem parafialnym dla tych cyganów. Co niedziele mieli swoje nabożeństwo, a lekcje katechizmu odbywały się codziennie. Eugenii jednak chodziło głównie o szkołę wędrowną. Dzieci bowiem z konieczności wędrowały z miasta do miasta i musiały mieć szkołę wędrującą za nimi, aby nie przerywać nauki zaczętej w jednym miejscu. Postanowiono założyć taką szkołę w Paryżu. Dostała polecenie do kierownika VII obwodu paryskiego i pewną kwotę pieniędzy na początkowe wydatki. Teraz dopiero urzeczywistniła Eugenia marzenia całego życia: miała szkołę w swym „domku na kółkach“. Urządzenie było zupełnie proste: pod dużym krzyżem, otoczonym sztandarem Francji, umieściła wielki napis: „Tu uczy się poznawać Boga, szanować rodziców i kochać Ojczyznę.“ Początki były naturalnie trudne mimo dobrej woli nauczycielki i uczniów. Pierwszych początków nauki duzielała sama. Ale to nie wystarczyło. Trzeba było wystarać się o osobę rutynowaną, któraby wykladała gramatykę, rachunki i inne przedmioty, których znajomości Eugenia nie miała. Po pokonaniu tej pierwszej trudności przyszły inne: niestałość w uczęszczaniu dzieci. Ale szkoła rozwijała się mimo to, dzięki poświęcaniu nauczycielki i pilności dzieci. W dni świąteczne prowadziła apostołka swoich wychowanków do muzeum i do grobu Napoleona, i tam opowiadała im o wielkości Francji. Dbała również o zdrowie dzieci. W jesieni, czy zimie, w czasie chłódów, widząc, że dzieci przychodzą na naukę zmarznięte, rozdawała im po garnuszku gorącego rosółu. W lecie organizowała wycieczki w okolice Paryża. W czasie Bożego Narodzenia kramarze mieli swoje drzewko, oczywiście za staraniem Eugenii. Rozdawano dzieciom ciepłe ubrania, szaliki, trzewiki, zabawki, stosownie do potrzeby. Społeczeństwo przychodziło jej chętnie z pomocą.

Najuroczyściej przygotowywała zawsze święto pierwszej Komunii św. Eugenia dbała o to, żeby wszystkie dzieci były biało ubrane, z wianuszkami na głowie, potem szły parami do kościoła. Na chórze śpiewali zazwyczaj znani artyści, którzy chętnie przyczyniali się do uświetnienia tej uroczystości. Ksiądz wygłaszał podniosłe kazanie, po czym po Mszy św. zbierano się przy skromnym śniadaniu i obiedzie. Tego samego dnia odbywało się bierzmo-

wanie. „Dzień ten nie ma być zapomniany“ — mawiała Eugenia i starała się też bardzo o to.

W liście, wystosowanym do redakcji jednego z dzienników, prosiła o pomoc lekarską dla kramarzy i linoskoczków. List jej ukazał się w dzienniku, a wielu lekarzy zgłosiło się niezwłocznie, oddając bezpłatnie swoje usługi. Odwiedzając chorych wspomagała potrzebujących, gdyż napotykała nieraz na wielką nędzę. Myślała również o stronie duchowej. Ostrożnie, nie nalegając i nie zmuszając nikogo, doprowadziła do Boga wielu starszych, zobojętniałych na rzeczy wiary, kramarzy. W czasie tych odwiedzin chorych doprowadziła też kilka małżeństw do porządku. „Jeszcze raz widzimy“, pisze Eugenia Bonnefois w pamiętniku, „że nauczycielka wędrownych kramarzy ma wielką misję do spełnienia, dociera ona tam, gdzie niełatwo dotrze siostra miłosierdzia, bo zna wszystkie rodziny. To był mój cel i pragnienie, gdy zakładałam szkołę.“

Nie zważając na swój wiek i przebyte trudy, Eugenia pracuje wytrwale. Bystre jej oko widzi wszystko, zdaje się być jednocześnie w szkole i w oddziale dla chorych. Po skończonych lekcjach chodzi po placu targowym, odszukując „wozy“ biedne, wspomagając potrzebujących, odwiedzając chorych. O sobie samej nie myśli wcale, nie wydaje prawie nic dla siebie. Nie kupuje sobie nawet nowych sukien, donosząc suknie, należące do dawno zmarłej matki.

To gorączkowe apostołstwo, które ogarnęło ją w 18-tym roku życia po przyjęciu po raz pierwszy Komunii św., nie osłabło bynajmniej z wiekiem, przeciwnie, wzmogło się, podniecone odniesionymi rezultatami.

Działalność jej, zakrojona na tak szeroką skalę, musiała wreszcie zwrócić uwagę publiczną; to też zostaje nagrodzona kilkakrotnie za życia. A w roku 1897 wręczono jej Palmy Akademickie. Było to najwyższe wyróżnienie francuskich władz państwowych.

Mimo jednak niezłomnej woli sterane w walce siły apostołki opuszczały ją zwolna. Ciężka choroba zmusiła ją wreszcie w r. 1908 do przeniesienia się do zacisznego klasztoru, gdzie pielęgnowano staruszkę z serdeczną troskliwością. Ale skoro znowu wyzdrowiała, nie chciała pozostać beczynną. Podpierana przez zakonnicę chodziła na targi, aby przynajmniej odwiedzać swoich kramarzy i zachęcać ich do nieprzerywania zaczętego dzieła. Apostołka ta była obdarzona specjalnym powołaniem misjonarskim, które pchało ją do czynu. Cóż jednak, kiedy siły coraz mniej pozwalały na to. Od stycznia 1914 roku cierpienia fizyczne wzmogły się, była prawie cała sparaliżowana. Przygotowała się na śmierć z pokorą, dziękując zakonnicom za opiekę, dobroć i cierpliwość, z jaką znoszono jej chorobę. Niemniej serdecznie dziękowała za pośrednictwem siostry przełożonej tym osobom, które dopomogły jej w wykonaniu dzieła, dobrodziejom szkoły i jej stałym opiekunom. Dnia 16 czerwca 1914 roku, zaopatrzona Sakramentami świętymi, oddała ta niestrudzona apostołka duszę swoją w ręce Boga, kończąc pracowity i bogaty w owoce żywot.

Trzy przypadki.

Młodziutki wikary wrócił przygnębiony z wizyty u chorego. Milcząc pod jarzmem ciężkiego kłopotu, rozpoczął skromną wieczerzę. Stary proboszcz pełen współczucia spoglądał na niego i odezwał się:

— Przypuszczam, że coś się księdzu zdarzyło. Chory może nie chciał dać się zaopatrzyć?

— Tak, gdy dawałem mu do zrozumienia, że dobra spowiedź jest dobrodziejstwem nie tylko dla umierających, ale i dla żyjących, odwrócił się do mnie plecami. Niepojętym jest dla mnie, że troskę o dobro duszy i ciała można w taki sposób odepchnąć. Nie mogę już nic innego uczynić, jak tylko modlić się za niego.

— Pomódlmy się!... Ja mam nadzieję, że chory jeszcze nas zawezwie, gdy tylko stan jego się pogorszy. To przecież człowiek nawet dosyć porządny, tylko ostatnimi laty tak się zaniedbał. Módlmy się, by moc grzechu nie zdusiła w nim ostatniego płomyka Bożego. Ksiądz jeszcze jest młody, pełen ideałów i nadziei. — Ten przypadek księdza przygnębił. Takich będzie z czasem więcej — będą i gorsze. Ja sam na przykład miałem trzy takie przypadki, o których chciałbym księdzu opowiedzieć, aby ksiądz, gdyby znalazł się w podobnym położeniu, wiedział, że taka wola Boża i nie dręczył się wyrzutami:

Byłem młodym kapłanem, gdy pewnego wieczoru zawołano mnie do umierającego. Spieszyłem się, gdyż wiedziałem że chory, do którego mnie wołano, był zatwardziałym grzesznikiem, który z największą przyjemnością kpił sobie z wiary i rzeczy świętych. Gdy przechodził koło krzyża czy kościoła, pieniał się ze złości. A teraz w chwili śmierci kazał mnie zawołać, serce mi żywiej zabiło na myśl, że mogę uratować duszę dla nieba. Biegłem co tchu, aby się tylko nie spóźnić, a ze mną szedł kościelny. Skróciliśmy nawet drogę, biegliśmy przez pola i łąki. Lecz tu naraz woda. Trzeba było obchodzić. Obchodzimy, a tu znowu jakieś rowy przepelnione wodą, których przebyć nie było można. Wcale tak wielkich nie było deszczy. Skąd ta woda? Miałem niemiłe wrażenie, że tu nie jest wszystko w porządku. Byliśmy zmuszeni wrócić na drogę, która w olbrzymim kole okrążała dom chorego. Byliśmy w połowie drogi, gdy zbliżył się posłaniec i powiedział: „księżę, nie potrzeba już, aby ksiądz się fatygował, chory już umarł.“

Byłem zrozpaczony, gdyż nie było mi danym uratować duszy tego krnąbrnego grzesznika. Robiłem sobie wyrzuty, że odrazu drogą nie poszedłem. Może byłbym jeszcze zdążył. Ale chciałem przecież najkrótszą drogą dostać się do niego, tylko, skąd ta woda się wzięła, kiedy zaraz na zajutrz już jej nie było.

To chyba była wola Boża, że wszystko tak się złożyło. Tej wody długo nie mogłem zapomnieć.

— Mogę sobie dobrze wyobrazić zdziwienie księdza Proboszcza.

— Wola Boża, księżę, jak również w podobnym wypadku. Wezwano mnie do chorego. Nie było wiele czasu. Kościelny był już gotowy. Ale nie mogłem w żaden sposób otworzyć tabernakulum. Trudziłem się pół godziny, wszystko daremne. Nie byłem w stanie otworzyć. Modliłem się, błagałem, żeby mi się tylko udało umierającego grzesznika uratować. Chodziło akurat o wielkiego grzesznika. W końcu i wtedy przyszedł z wieścią posłaniec o śmierci tego nieszczęśliwego człowieka. I o dziwo, drzwiczki lekko otworzyły się jak zwykle. Stałem przed zagadką, której rozwiązać nie mogłem.

— Sądzę, że jakaś wyższa siła tu się wmieszała — sprzeciw Najwyższego.

— Wola Boża, księżę. Chciałem zrobić swoje, Pan pokierował inaczej. Niech się dzieje Jego święta wola...

Jeszcze inny raz, podążając z kościelnym do chorego, przechodziłem przez skrawek lasu. Szliśmy wieczorem, zwykłą, zresztą jedyną drogą. Las był mały, rzadki, zabłądzić absolutnie nie było można. A mimo to wówczas zbłądziliśmy i ciągle wracaliśmy do tego samego miejsca. Z 20 razy tak się złożyło, choć jak już wspominałem, zabłądzić było niemożliwym. Można było sobie wyobrazić, że nie było nam przyjemnie. Gdyż pominawszy dziwny zbieg okoliczności, czas który miałem wykorzystać na uratowanie duszy tego grzesznika, szybko upływał. Los jednego życia wiecznego zawisł od naszego zabłąkania. A również wtedy przybył chłopiec ze słowami „za późno“. I od tej chwili już trafiliśmy z lasu.

— Dziwne to, bardzo dziwne — przytakiwał wikary. — Jest zupełnie jasnym, że moc Wyższa w tych trzech wypadkach przeszkodziła. Najwyższe dobro nie chciało być złożone w serce niegodne.

— Wyraźmy się lepiej, to była wola Boża. Złość ma swoje tajemnice, których my zbadać nie możemy. Złość ma również swe prawo. Tak jak właściwością Boga jest — być dobrym — tak jest cechą szatana — być złym. — To odnosi się także do jego zwolenników. Dobrym cnota jest miłą, złym zaś miłe jest wszelkie zło. Tego nie możemy zmienić. Musimy się pogodzić z tym, że to, co się dzieje, to wola Boża, Jego postępowanie jest niezbadane. Nie wiemy, co On przez daną rzecz chce skutecznie. Nie wolno nam również sądzić, gdyż Bóg jest litościwym. Nie ulega wątpliwości, że te trzy wypadki stały się za Jego wolą. Pozostaje nam tylko jedno: poddać się i kroczyć dalej tą drogą światła i miłości. Wszystko jest w rękach Bożych.

„Sekret Paryża.“

Niemiecki pisarz Ganghofer opisuje w swoich wspomnieniach, że kiedy podczas pewnych wakacyj przyjechał do domu na wywczas, matka od razu zajęła się jego garderobą. Gdy czyściła ubranie nagle napotknęła na coś twardego. Znalazła książkę: „Sekret Paryża“. Przestraszyła się wtedy i zawołała syna. Strofowała go porządnie, zasmuciła się i wyszła z pokoju. Chłopak książki jeszcze nie czytał, lecz ilekroć brał ją do ręki, znowu ją odkładał, nie mając po prostu serca, by ją przeczytać.

Jeśli teraz jakaś zła książka dostanie się tobie do ręki, pomyśl zawsze, że przygląda ci się matka, czyta z tobą zdanie po zdaniu, kartkę po kartce. Wtedy na pewno nie będziesz mógł przeczytać takiej książki. A cóż dopiero, jeśli myślał będziesz o Bogu — obecnym wszędzie, wszechwiedzącym!

Znaleziono kiedyś pewnego młodego człowieka martwego przy biurku. Przed nim otwarta była straszna książka! Jakże smutno, jeżeli człowiek tak stawić się musi u Najwyższego Sędziego. Przeto pamiętaj o tym: Nie czytaj nigdy książki, której w chwili śmierci nie mógłbyś czytać.

Z ostatnich dni

Na szerokim świecie.

Liczne nawrócenia w Szwajcarii.

Według doniesień prasy szwajcarskiej w okręgu jeziora Genewskiego stwierdzono w ostatnich czasach bardzo znaczny wzrost liczby nawróceń z protestantyzmu do Kościoła katolickiego. Nawrócenia te odbywają się bez żadnej propagandy ze strony katolickiej i są uważane za zjawisko niezwykle charakterystyczne.

Martyrologia kapłanów w Hiszpanii.

Nadchodzą z Hiszpanii do Watykanu liczne szczegóły o bezprzykładnym bestialstwie czerwonych oprawców i dostojnym w swej powadze bohaterstwie kapłanów, ofiar teroru hiszpańskiego.

Ksiądz Farro, profesor muzyki w Olot, po aresztowaniu odarty został z odzieży, którą oblaną benzyną i podpalono u jego stóp. Nieszczęsny kapłan spłonął żywcem.

Ciężko chorego księdza Miralpeix lekarz-komunista zmusił wstać z łóżka i udać się na „Sąd“ ludowy. Na wszelkie najgrawaniem się spełnione pytania „Sądu“ bohaterski kapłan z trudem tylko mógł odpowiadać słabym okrzykiem: „Viva Cristo el Rey“ (Niech żyje Chrystus Król).

Rozstrzelano go.

Kilku kapłanów z diecezji Gerona torturowano przed śmiercią wbijając rozpalone drzazgi żelazne pod paznogie u rąk i nóg. We wsi Desegur proboszcza Tapias, powszechnie miłowanego przez ludność, na śmierć skazał komitet ludowy umyślnie przybyły z innej miejscowości. Kiedy zaś komitet miejscowy chciał swego pasterza ocalić, bohaterski kapłan prosił, by tego zaniechano ze względu na mogące z tego powodu paść dalsze ofiary, sam zaś gotów jest w każdej chwili ponieść śmierć dla Chrystusa. Rozstrzelano go, tę tylko wyświadczyając łaskę, że pozwolono mu zginąć w sukni kapłańskiej.

Olbrzymi ruch nawróceń w Indiach.

„Daily Telegraph“ podał ostatnio niezmiernie ciekawe informacje o coraz szerze zataczającym kręgi ruchu nawróceń na chrystianizm w Indiach. Nawrócenia dotyczą głównie najniższej i najbardziej upośledzonej warstwy pariasów, czyli t. zw. nietykalnych. Jest ich w Indiach 60—70 milionów, a nawrócenia na chrystianizm wynoszą w ostatnich czasach, jak twierdzi generalny sekretarz protestanckiego „Church Missionary Society“, przeciętnie 15 tysięcy osób miesięcznie. W głównej mierze przyczynia się do tego stanowisko przywódcy kasty pariasów dr Ambedkar, który na wielkim zgromadzeniu w okolicach Bombayu w październiku r. ub. zalecał „nietykalnym“ porzucanie hinduizmu i przystępowanie do religii, dającej im wolność i możliwość rozwoju. Ci, którzy poszli za radą swego przywódcy, odżyli moralnie i duchowo. Ponieważ nadto, jak stwierdza sekretarz wspomnianego towarzystwa misyjnego, w ślad za duchowym podniesieniem pariasów idzie i polepszenie ich bytu materialnego, wszędzie bowiem, gdzie do wiosek pariasów wkroczyło chrześcijaństwo, poprawiły się warunki higieniczne, powstała opieka lekarska, spadła śmiertelność, zorganizowane zostały sierocińce i różne przytulki oraz szpitale i szkoły, przykład nawróconych pociąga innych i zachęca do chrześcijaństwa. Protestanckie towarzystwo misyjne gromadzi obecnie fundusze na dalsze popieranie tego odruchu ludności i pragnie w każdej wiosce założyć szkołę i ufundować stację higieny, by zwalczać epidemię febry i inne choroby.

Oczywiście, nowym ruchem wśród pariasów interesują się żywo i misjonarze katoliccy, dla których otwierają się nowe wdzięczne tereny do pracy apostołskiej.

Kościół w Madrycie komuniści zamienili na garaż.

Korespondent „Times“ donosi z Madrytu, że wszystkie kościoły zostały tam zamknięte i odprawianie nabożeństw zostało zakazane. Prawie wszystkie kościoły komuniści zamienili na garaże dla samochodów ciężarowych. Istnieje obawa, że wskutek tego bezcenne dzieła sztuki narażone zostały na wielkie niebezpieczeństwo.

Więzienia nie mogą pomieścić tysiący aresztowanych. Większość mieszkańców Madrytu ukrywa się, jak może. Nikt nie jest pewny życia przed grasującymi po mieście bandami morderców.

„Ślubujemy“. Wydawnictwo Instytutu Różańcowego, Toruń, str. 72.
Cena 50 gr.

Wielkie i dziejowe było „Ślubowanie Jasnogórskie“ młodzieży akademickiej w dniu 24 maja.

W dniu tym cała Polska łączyła się sercem z młodzieżą akademicką, by Matce Najświętszej razem z nimi uroczystie ślubować swoje głębokie przywiązanie do Kościoła i wierność zasadom Chrystusowym.

Cała prasa polska i katolicka poświęciła naczelne szpalty swych pism dla wypowiedzenia swych uczuć i stosunku do tego religijnego i narodowego aktu.

Nie wszyscy jednak słyszeli płomiennych przemówień, przemówień programowych, które wygłaszali reprezentanci młodzieży akademickiej z całej Polski podczas uroczystej akademii, zorganizowanej u stóp Cudownego Obrazu.

Przemówienia te in extenso podane są w wydanej przez Instytut Różańcowy broszurze p. t. „Ś l u b u j e m y“.

Na całość tej książki prócz przemówień składają się wyciągi z prasy polskiej, listy i odezwy akademików do społeczeństwa, dokumenty historyczne, opis całej uroczystości itp.

„Liga Praw Obrony Człowieka“ — Labrousse - Mollière. Katowice 1936.

Kiedy we wszystkich prawie krajach Liga Praw Obrony Człowieka zaczyna swoją pozornie niewinną rozwijać działalność, dobrą jest rzeczą, że ukazała się w Polsce książka informująca o właściwym obliczu Ligi. Książka niniejsza wykazuje jak odbiega działalność Ligi od głoszonych przez nią haseł i jak ścisła między nią a masonerią istnieje łączność.

Ponieważ Liga najszerszą działalność rozwinęła we Francji, dlatego najłatwiej działalność jej skontrolować na tym terenie. To, co autor zebrał i w niniejszej książce opisał, świadczy zupełnie wyraźnie, że Liga jest częścią masonerii, że sprzyja komunizmowi i popiera anarchię. Autor wykazuje jasno, że Liga zagraża bezpieczeństwu każdego państwa.

Dzielko to opracowane jest gruntownie i wiernie. Autor sięga do samych źródeł. Wykazuje działalność, przytacza okólniki oraz cały szereg kompromitujących Ligę dokumentów. Całość zestawiona jest bardzo przejrzysto tak, że aczkolwiek materiał pomieścił się na zaledwie 100 stronach, jednak daje nam całokształt działalności Ligi i demaskuje prawdziwe jej oblicze.

Redaktor: Ks. Hilary Gwóźdź, Katowice.

Nakładem Kurii Diecezjalnej w Katowicach. — Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka Sp. Akc., Katowice, ul. Marszałka Piłsudskiego nr. 58.
Prenumerata roczna 3,60 zł. — P. K. O. („Gość Niedzielny“) nr. 304.264.

Redakcja: Katowice, ul. Marszałka Piłsudskiego 20.

Administracja: Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 58.

Każde kółko różańcowe czyta Głos Misji Wewnętrznej

„Głos Misji Wewn.“ nadszedł dnia _____ Czytali go:

L. p.	Nazwisko	Miejscowość	Odebr. dnia	Oddano dnia
1				
2				
3				
4				
5				
6				
7				
8				
9				
10				
11				
12				
13				
14				
15				
Do przechowania zabrała _____		dnia _____		

Ty go nie znasz! Przeczytaj, co inni o nim sądzą!

Redakcja „Głosu“ otrzymała następujący list:

Z... 31. X. 1936 r.

„Proszę mi przelać trzy pierwsze roczniki „Głosu Misji Wewnętrznej“ ponieważ prenumeratę rozpocząłem od 1935 r. — a chciałbym mieć cały komplet tak pięknego pisma.

Znajduje w nim bogactwo i wszechstronność myśli, wypowiedzianej często w tak pięknej i powabnej formie stylistycznej. Dla kaznodziej jest ono kopalnia myśli tak co do swej różnorodności tematów nowoczesnych, jak również bogactwa bardzo ciekawych przykładów. Śmiem twierdzić, że to najlepsze ascetyczne piśmiśko polskie jakie dotąd się ukazały, (a jestem prenumeratorem 18 czasopism).

Stąd proszę przelać mi trzy pierwsze roczniki w komplecie.“

Z poważaniem

X. J. S.

